

ISSN 1507-4781 * ROK XXIII * LATO (VII, VIII, IX) 2020 * nr 85

FORUM 85

MYŚLI WOLNEJ

Krakowski magazyn racjonalistów



STEFAN BERDAK, akryl, płótno

W numerze m.in.:

- Tadeusz Żeleński-Boy, *Asnyk i dziewczyna*
- Jan Czajkowski, *Kłopoty Polaków z LGBT*
- Kazimierz Pasenkiewicz, *Wspomnienia*
- Jaroslav Hašek, *Partia rośnie, ale zbiera cięgi*



RADA PROGRAMOWA:

prof. dr hab.
Krzysztof Woźniakowski
– przewodniczący Rady,

dr Adam Bańdo – sekretarz Rady.

Członkowie:

prof. dr hab. Adam Chmielewski,
prof. dr hab. Stanisław Ignacy Fiut,
prof. dr hab. Jerzy Kochan,
prof. dr hab. Jerzy Kornaś,
prof. dr hab. Józef Lipiec
dr Paweł Sękowski,
prof. dr hab. Piotr Szydłowski,
prof. dr hab. Jan Woleński.

ADRES REDAKCJI:

30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
tel. 12 423-50-16; 501 567 547
e-mail: j.kabaj@wp.pl
sekretarz redakcji: tel. 501 286 053

Wydawca:

Rada Wojewódzka
Towarzystwa Kultury Świeckiej,
30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
www.forummysliwolnej.pl
Dom Fundacyjny
im. Lidii i Leona Świeżawskich

Skład, łamanie i druk:

Agencja Reklamowa Novum
31-158 Kraków, ul. Krowoderska 66/8
www.novum.krakow.pl

ISSN 1507-4781, Index 325813

1 OD REDAKCJI

Staszek

3 Stanisław Franczak, *Dąb*

TEMATY SPRZED LAT

4 Piotr Augustynek, *Wstęp*

5 Tadeusz Żeleński-Boy, *Asnyk i dziewczyna*

MYŚLAĆ BELFREM

8 Piotr Augustynek, *Wielka improwizacja w maseczce na twarzy*

ETYKA DLA MŁODZIEŻY

11 Piotr Szydłowski, *Odlamy towarzyszące protestantyzmowi*

RELIGIOZNAWSTWO

20 Jan Czajkowski, *Kłopoty Polaków z LGBT*

W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

23 Kazimierz Pasenkiewicz, *Polska Organizacja Wojskowa, Komenda Naczelna nr 3 na Ukrainie*

LITERATURA I POLITYKA

29 Jaroslav Hašek, *Partia roślin, ale zbiera cięgi*

LITERATURA

31 Jędrzej Szlachetka, *Raj*

SPACER PRZEZ HISTORIĘ

41 Marian Toporek, *Oblicze ideowo-polityczne teatru krakowskiego w latach 1945-1949 – część III*

REFLEKSJE I KOMENTARZE

59 J. Kabaj, *My chyba robociejemy*

60 J. Kabaj, *Refleksja o koronie*

60 Marchoń, *Zgubne skutki niewłaściwego używania rozumu*

63 Z WITRYNY KSIĘGARSKIEJ

63 Z PORTALI INTERNETOWYCH

64 KRONIKA

Redaktor naczelny: Józef Kabaj. **Zespół redakcyjny:** Piotr Augustynek (sekretarz), Sławomir Brodziński, Mieczysław Jakubiec, Henryk Szydłowski, Artur Kozioł (red. techniczny). **Współpraca redakcyjna:** Alicja Górowska. **Opracowanie graficzne:** [Stefan Berdak], Piotr Augustynek. Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania tekstów i zmiany tytułów. Nie odsyłamy materiałów niezamówionych. Artykuły naukowe są recenzowane przez samodzielnych pracowników nauki. Portrety postaci historycznych oraz reprodukcje dzieł sztuki zaczerpnięte z zasobów Wikipedii.

OD REDAKCJI

STASZEK

Dwunastego lipca 2019 roku odszedł od nas Stanisław Franczak, redaktor naczelny Forum Myśli Wolnej, wiceprzewodniczący Krakowskiego Oddziału Towarzystwa Kultury Świeckiej, prezes Stowarzyszenia Twórczego „STAL”.

Tyle można zawrzeć w oficjalnym wspomnieniu. Ale przecież żadne wspomnienie oparte na urzędowo brzmiących faktach nie powie nam prawdy o człowieku. Dla nas był po prostu Staszkiem. Z rzadka komuś wyrwało się słowo „prezes”, bo ono po prostu nie było potrzebne. Tak to już jest, że uroczysta tytułatura potrzebna jest aby dookreślić osobowość nijaką, mdłą lub po prostu nikczemną. Ludziom takim jak Staszek dookreślanie nie było potrzebne.

Staszek był klasycznym przykładem życiorysu trafnie ujętego przez prof. Piogonia w autobiografii „Z Komborni w świat”. Kombornię zastąpiła Bieńkówka zagubiona w okolicach Makowa Podhalańskiego. Tragiczne, biedne dzieciństwo pozbawione miłości Rodziców. Uporczywa walka o wyrwanie się z wykluczenia społecznego, głód wiedzy, a jednocześnie ogromna wrażliwość na otaczający świat, na magię przyrody, ufność w siłę słowa, w wartość sztuki. Studia polonistyczne, pierwsze dojrzałe próby literackie, działalność społeczna.

Droga życiowa Staszka okazała się twardą szkołą przetrwania. Przetrwania, w którym nie mogło zabraknąć miejsca na świadomość własnego pochodzenia, na szacunek do miejsc, gdzie się wyrastało, gdzie zdobywało się prawdę o życiu – nieraz bolesną.

Bywało, że Staszek podejmował decyzje o marszu „pod prąd”. Tak było z jego działalnością w ruchu kultury świeckiej. Nawet, gdy oficjalne czynniki temu sprzyjały. Dzisiaj często widzimy niegdysiejszych szermierzy urzędowej świeckości przyspawanych do kurialnej klamki. Staszek taki nie był aż do końca swoich dni.

Był tolerancyjny. Nikogo nie potępiał. Nikogo nie przymuszał do określonych zachowań. Wymagał jedynie wyraźnego i uczciwego określania poglądów.

Jaki był jeszcze? Tego nie da się dokładnie opowiedzieć, ale pomocne mogą być Jego teksty – plon bardzo pracowitego i konsekwentnego tworzenia w materiale pozornie tylko uległym.

Tworzenia w słowie.

Redakcja



Stanisław Franczak



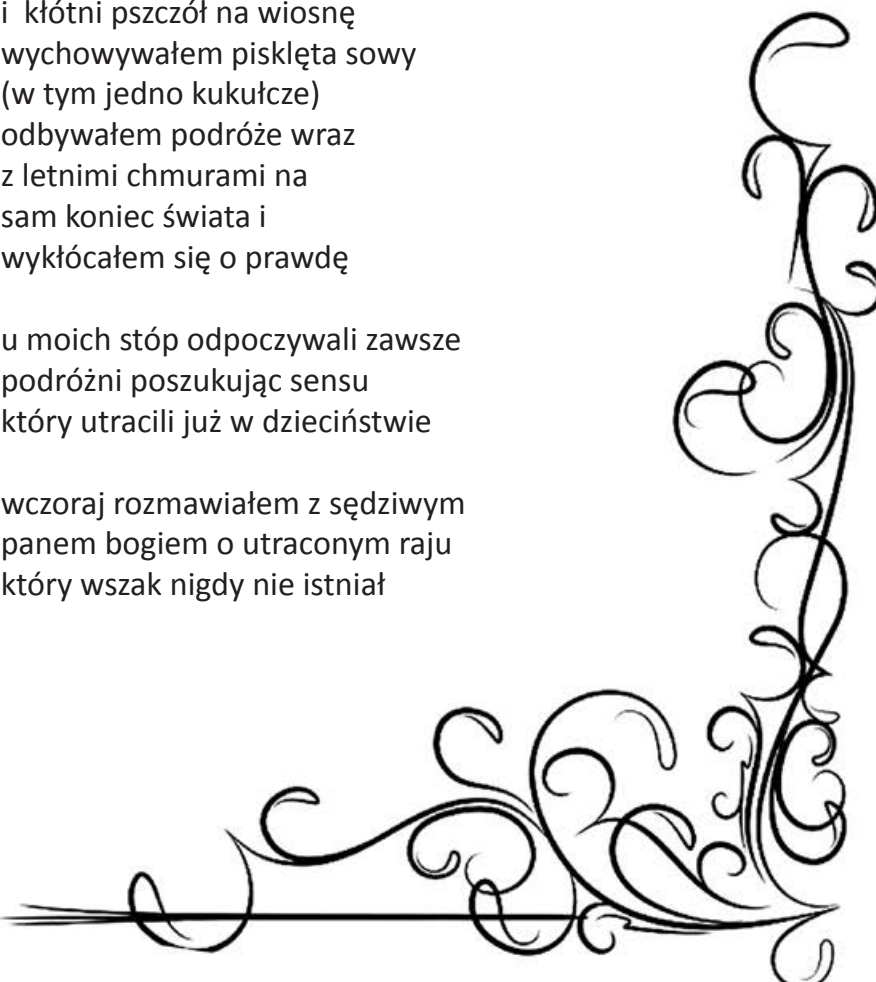
STANISŁAW FRANCZAK

DĄB

na wysokim wzgórzu
obok starej kapliczki
urastałem konarami do nieba
i wiosną zieleniałem cały
z niebieskiego szczęścia
wysłuchiwałem tajemnic ptaków
i kłótni pszczół na wiosnę
wychowywałem pisklęta sowy
(w tym jedno kukułcze)
odbywałem podróże wraz
z letnimi chmurami na
sam koniec świata i
wykłócałem się o prawdę

u moich stóp odpoczywali zawsze
podróżni poszukując sensu
który utracili już w dzieciństwie

wczoraj rozmawiałem z sędziwym
panem bogiem o utraconym raj
który wszak nigdy nie istniał



„ŻEBY ROZUM BYŁ PRZY MŁODOŚCI!” – mawiały niegdyś nasze babcie. Powiedzenie to jakże celnie charakteryzuje sprzeczności i napięcia, z jakimi nierozzerwalnie związane jest nasze życie. Banałem jest twierdzenie, że żyjemy w ciągłym rozdarciu: między dobrem a złem, życiem a śmiercią, prawdą a kłamstwem, grzechem a świętością (cokolwiek by to znaczyło).

Doświadczenie nagromadzone przez gatunek homo sapiens na przestrzeni tysiącleci podpowiada, że mądrość, umiejętność radzenia sobie w trudnych sytuacjach, zdolność przewidywania, są naturalną pochodną długiego życia, a co za tym idzie – przeżytych doświadczeń. Jesteśmy mądrzy, bo „przećwiczyliśmy” ileś tam sytuacji. Najczęściej przykrych, wymagających walki, szybkiego podejmowania decyzji.

Tego typu myślenie, prowadzone przez tysiąclecia, dało swoje efekty w postaci stereotypów, uproszczonych modeli myślenia, łatwych odpowiedzi na trudne pytania itd. Stąd też płochość, nieodpowiedzialność, wreszcie głupotę chętnie przypisujemy ludziom młodym, tak jakbyśmy nigdy nie widzieli siwego głupca. Tymczasem przykłady są w zasięgu wzroku.

Podobno ktoś przeprowadził prosty eksperyment, prosząc o narysowanie „portretu autorytetu”. I co się okazało? Uczestnicy (niezależnie od wieku) „sportretowali” osoby z wyraźnymi oznakami starości. W wielu przypadkach na rysunku pojawiły się atrybuty w postaci siwych włosów, siwej brody, często okularów. Trafiły się również elementy „przemocowe” w postaci munduru, broni, groźnie wyglądających symboli władzy.

Gdy rozważamy zagadnienie młodości i starości, często zastanawiamy się, czy są to tylko kategorie metrykalne. Pojawia się też fenomen ludzi młodych duchem, aktywnych seniorów. Zauważamy (od wielu lat) utrzymujący się kult ciała, zdrowia, młodości za wszelką cenę. Kwitnie fitness, kulturystyka, aktywny wypoczynek, w coraz większej cenie są zabiegi w Spa. Triumfy (czasem przedwczesne) święci chirurgia plastyczna.

Kult ciała i młodości. Wydaje się, że katujemy się po to, by oszukać czas. Łudzimy się, że możemy to zrobić. Jakże często spotykamy babcię i wnuczkę odziane w identyczne, obcisłe jeansy lub leginsy. To znakomita zabawa – widzieć zacierające się (wizerunkowe oczywiście) różnice w wyglądzie. Czy potępić to zjawisko? Przenigdy! Życie jest wyjątkowo opresyjne, więc trzeba je „odpoważniać”.

Oszukiwanie czasu? Obyśmy tylko z takimi oszustwami mieli do czynienia. Pogoń za nieśmiertelnością? To już także przerabialiśmy. Nadal w mocy pozostaje pytanie: czy przez całe życie mamy przycupnięci w niemym strachu obserwować marsz wskazówek zegara, czy po prostu machnąć ręką i spróbować pożyć, ile się da?

Wybór, opracowanie i wstęp:
Piotr Augustynek

Asnyk i dziewczyna

Nie wiem, czy spomiędzy analfabetów, którzy stanowią większość moich czytelników, zna kto jeszcze wierszyk Asnyka *Gdybym był młodszy...* Wiersz ten wraz z muzyką Galla był niegdyś jedna z najpopularniejszych pieśni. O ile pamiętam jakieś wyrwane strofy, brzmiał on tak:

*Gdybym był młodszy, dziewczyno,
Gdybym był młodszy,
Piłbym, ach, piłbym nie wino,
Lecz ustek twoich najśladczy
Nektar, dziewczyno...*

A kończyło się słowami:

*Ale już jestem za stary,
Bym mógł, dziewczeczko,
Zażądać serca ofiary,
Więc bawię tylko piosneczką,
Bom już za stary...*

Ale z pewnością mało kto wie, w jakim wieku był Asnyk, kiedy tworzył ten bardzo osobisty i do wiadomej osoby pisany wierszyk. Otóż miał lat... trzydzieści pięć. Dziwi to was, prawda? Kto by zobaczył portret Asnyka z owej epoki: dziad z krzaczastymi brwiami, płową brodą, obwisłymi wąsiskami... „Wzrok dziki, suknia plugawa...”. Zdziwienie też ma swój czas...

I kiedy to wspomnę – jak również inne zjawiska z epoki mojego dzieciństwa – wciąż na nowo dziwuję się cudowi, który spełnił się na naszych oczach i którym nie dość się cieszymy, któremu nie dość się cudujemy. A przecież to cud jeden z największych, jaki ludzkość znała.

Pomyślcie tylko: gdyby jakiemu Woronowowi¹ udało się znaleźć niezawodny środek przedłużenia życia ludzkiego, co by się zrobił za hałas! Na przykład o dziesięć lat. A w gruncie rzeczy, co by to znaczyło? To, że stary ramol będzie żył dziewięćdziesiąt lat zamiast osiemdziesięciu i będzie robił w majtki o dziesięć lat dłużej ku strapieniu rodziny. Do tego sprowadzałoby się dobrodziejstwo tego wiekopomnego wynalazku. Którego twórca otrzymałby z pewnością potrójną nagrodę Nobla. Tymczasem, co zrobiła ludzkość samorzutnie, bez pomocy wynalazców! Przedłużyła sobie sama więcej niż życie, bo to, co w życiu najcenniejsze, przedłużyła – i to o ile! – nie starość, ale młodość.

Jak to się stało? Jakimi środkami? Różne rzeczy się na to złożyły. To temat do całego filozoficznego traktatu. Ale po większej części środki te są dziecinnie proste, można by rzec „negatywne”. Bo zważmy jeden paradoks. Gdy dawniej w całej poezji brzmiały hymny na cześć młodości, gdy pisano ody do młodości, równocześnie w życiu robiło się co można, aby tę młodość skrócić. Urzędowo istnie maskarady, wymyślano specjalne kostiumy, aby młode i powabne kobiety przebrać za matrony, a niestarych mężczyzn ucharakteryzować na starców. Wymyślono cały skomplikowany ceremoniał, aby się ograbić z praw do tej odrobiny życia, jaką mamy. To był jeden z najciekawszych objawów masowego

¹ Sergiusz Woronow (1866-1951) – dyrektor zakładu chirurgii estetycznej w Collège de France. Słynął z operacji odmładzających przez przeszczepianie gruczołów płciowych.



Adam Asnyk

obłędu. Wystarczyło położyć koniec tej maskaradzie, zniwelować strój, aby najzupełniej przesunąć granice wieku. Dziś ten sam trzydziestopięcioletni Asnyk, wymyty, wygolony, w getrach, sterczałby po salonach jako reprezentant „najmłodszych”, a luba jego, flirtując z jakimś sześćdziesięcioletnim dyrektorem banku, mówiłaby o poecie wydymając wzgardliwie usta: „Phi! Ten smarkacz! Jak ty możesz dzieciaku, być zazdrosny o takiego smarkacza?”

Toż samo obyczajaje. Gdy sobie przypominając dawne czasy i porównać z tym, co się widzi dzisiaj, toż ma się wrażenie, że to była jakaś maskarada. Kiedy czterdziestopięcioletniemu mężczyźnie przyszła ochota powiedzieć komplement trzydziestodwuletniej damie, mówił go jakby w cudzysłowie, z umyślnie przesadną strzelistością, jak rzecz, która z wieku nie przystała ani jej, ani jemu, i wszyscy przyjmowali to jowialnie. Kiedy gdzieś nad ranem, uniesiony powszechną ochotą, zatańczył, młodzież otaczała go kołem i dawała mu brawo. Podziwiano jego rześkość, sypały się dowcipy: „Patrzcie, patrzcie, młodzi!” etc. Kto to wszystko aranżował, jaki był podkład społeczno-psychologiczny tego

dobrowolnego i masowego postarzania się ludzkości, tym się już nikt dziś nie interesuje, tak jak nie interesujemy się przyczynami potopu. Przyjęto zmianę jako coś zupełnie naturalnego, nie myśli się o tym, co było i czemu było, podczas gdy poświęca się czas i myśli różnym zagadnieniom, które doprawdy są niczym, przymierzone do tej najpoważniejszej kwestii ludzkości, jaką jest młodość. A jednak warto by czasem nad tym podumać, choćby dla obmyślenia środków ochronnych, iżby nowa epidemia starości nie rzuciła się kiedy na ludzkość. Tak, przedwczesna sztuczna starość to była epidemia, choroba, przeciw której znaleziono nareszcie szczepionkę ochronną.

W związku z tą maskaradą strojów istniała maskarada psychiczna, która okazała się takim samym głupstwem jak tamta. Powaga starców, cześć oddawana starcom etc. – wszystko to jest wybrażowana farsa, której się już nie grywa, ale którą grywało się jakże długo i z jak opłakanym skutkiem! Zwłaszcza rozum starców, którego formułę stanowiło zwykle: być sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt lat głupcem.

Drugą przyczyną przedłużenia młodości jest pewne ulekkomyślnienie świata, które w gruncie jest może przywróceniem praw zdrowego rozsądku. Jednym np. z typowych zjawisk przy dobieganiu się ludzi, przy kojarzeniu małżeństw, było kombinowanie harmonii wieku z punktu najbardziej odległej przeszłości. Obliczano na wściekle daleką metę. Przypuśćmy, że młoda panienka rwała się do miłego czterdziestodwuletniego mężczyzny; natychmiast ciotki, przyjaciółki reflektowały ją, robiły trzeźwe kombinacje: „Tak, on się wcale dobrze trzyma, ale co to będzie, pomyśl tylko, za dwadzieścia lat!” Ileż szczęśliwych małżeństw udaremniły te obliczenia, iluz

mężczyzn w najpiękniejszym wieku wyrzuciły za nawias!

Dziś dla kobiety te względy nie istnieją po prostu dlatego, że ma ona (często słuszne) poczucie, że nim ten mąż zdąży się zestarzeć, już ona będzie za drugim albo i trzecim... Życie bierze się pod kątem bliższej terażniejszości, nie oblicza się na tak długą metę. Co będzie? Ech, kto tam wie, co będzie, może wojna gazowa...

Jeszcze większy podnosił się krzyk, kiedy mężczyzna, zakochawszy się bez pamięci, chciał się żenić ze starszą od siebie kobietą. Dopieroż było obliczanie, przymierzanie: „Kiedy ty będziesz miał tyle, ona będzie miała tyle, a kiedy ty tyle, ona znów tyle” etc.

Przypomina mi to anegdotę, którą gdzieś słyszałem. Ktoś żył z kozą i był szczęśliwy. Ale ciotka zatrula mu to szczęście reflektując go: „Dobrze teraz, póki jesteście młodzi, ale o czym wy na starość będziecie z sobą rozmawiali?”

Rozmarzyłem się w tym miejscu. Tak, rozmarzyłem się... Czuję, że tym wyznaniem się gubię, że dostarczam moim świętobliwym wrogom ciężkich

argumentów. Ale trudno: człowiekiem jestem i nic co ludzkie nie jest mi obce, nawet koza. Zatem rozmarzyłem się, owiały mnie wspomnienia młodości płynące ku mnie na szerokich skrzydłach melodii Jana Galla:

*Ty byś mnie może kochała,
Jasny aniele,
Na tę myśl pierś ma zadrżała,
Bo widzę szczęścia za wiele,
Gdybyś kochała...*

*Gwiazd bym nie szukał na niebie
Ani miesiąca,
Tylko bym patrzył na ciebie,
Boś bardziej promieniejąca
Od gwiazd na niebie...*

Tak śpiewał trzydziestopięcioletni Asnyk z kosmatą twarzą, w długim, ciemnym surducie i oczywiście w ka-lesonach wiązanych na białe tasiemki. „Gwiazd bym nie szukał na niebie ani miesiąca...” Szczęście, że to nie astronom mówi. Ale doprawdy ostatni był to czas, aby ludzkość ogoliła brody, ba jeszcze trochę, a trzeba by było przystąpić do golenia głów... □

Rok 1929



PIOTR AUGUSTYNEK

WIELKA IMPROWIZACJA W MASECZCE NA TWARZY

Opresja. Stres. Niepewność. Strach. Niedowierzenie.

Te pięć rzeczowników nasunęło mi się na myśl w związku z warunkami, w jakich teraz przyszło nam żyć. Stan zawieszenia wszelkich norm, do jakich byliśmy dotąd przyzwyczajeni. Rzeczy tak oczywiste, że aż banalne, przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie i nagle okazało się, że tak trudno bez nich funkcjonować. Od banalnego gestu podania ręki po odruch przytulenia kogoś bliskiego. Maseczka na twarzy przeszkadza, irytuje, stwarza poczucie osaczenia. Konieczność przestrzegania przepisowej liczby miejsc w tramwaju budzi odruch buntu. Chcę jechać, a muszę czekać na następny tramwaj, bo inni też chcieli, z tym, że wsiedli wcześniej.

Do tego liczby. Narastająco informują o tych, którzy zostali zaatakowani i o tych, którzy przegrali swoją walkę. Tutaj miejsce irytacji zajmuje strach. Strach spotęgowany niewidzialnością wroga, z początku wypierany przez myślenie, że to może niepotrzebna panika, a może ten wirus nie jest taki groźny. Pojawiają się spiskowe teorie dziejów, ulubione przez gatunek ludzi, którzy uważają, że wiedzą lepiej. I już mamy „prawie pewne” informacje, że to wina tych podłych Chińczyków, albo, że żadna zaraza nie istnieje, tylko mamy niecną zmowę koncernów farmaceutycznych, chcących na biednych, przestraszonych ludziach zarobić...

I nagle spada na nas wszystkich ni to zachęta, ni to rozkaz: „Zostań w domu!”. Szkoły zawieszają swoją pracę, nie ma dokąd iść na kawę, coraz więcej instytucji zamyka swe podwoje. Czegoś takiego jeszcze nie było. Tego jeszcze nie ćwiczyliśmy. Robi nam się nieswojo. A do tego codzienne raporty o liczbie zarażonych, zmarłych. I zrazu nieśmiało, cicho, coś o tych, którzy ozdrowieli.

Zaczyna się przyspieszona edukacja „życia w hibernacji”. Życia jakby poza życiem, na marginesie. Jak żyć, żeby nie zwariować? Co zrobić z niespodziewanym nadmiarem czasu? Jak się zachować wobec najbliższych, których przecież kochamy, ale na ich obecność jesteśmy skazani i nie ma jak uniknąć tego stanu? Musimy nauczyć się na powrót tolerancji, poszanowania prywatności, ustępowania sobie nawzajem, tłumienia w zarodku konfliktów zanim wybuchną.

Pojawia się zjawisko „pracy on line”, pracy na odległość. Ta praca dopuszcza poniechanie codziennych rytuałów rozpoczęcia dnia, a więc można przystąpić do obowiązków służbowych w kapciach, z zarostem, bez koniecznego makijażu itd.

I wszystko byłoby, jak mawia młode pokolenie „do ogarnięcia”, ale oto zderzamy się ze zdalnym nauczaniem. Co to jest? Jak to działa? Jak to realizować? Wszyscy toną w domysłach, bo nikt nie wie, jak to jest. Tego też jeszcze nie ćwiczyliśmy. Władze oświatowe próbują



MAV™    
@petemitchellmav

Nauczanie domowe idzie nam świetnie. Dwójka uczniów została zawieszona za bójkę, a jeden nauczyciel zwolniony za picie w pracy.

Wybuchowa Dawka Humoru



BLASTY.PL

tym procesem zarządzać, ale wygląda to tak, jakby starego szypra z rybackiego kutra czy żaglowca przenieść do sterówki supernowoczesnego katamarana. Już z daleka pachnie kłopotami.

Łatwo jest zarządzić: uczyimy zdalnie. Tylko, że z tego nic nie wynika. Sieć internetowa w Polsce, jaka jest, każdy widzi. Zasięg nie wszędzie ma wymaganą jakość. W biedniejszych regionach Rzeczypospolitej nie wszystkie szkoły mają sprawne komputery, w wielu domach, nie tylko biednych, nie ma nawet najskromniejszego laptopa. Owszem, w szkole uczyimy podstaw informatyki, ale w domu dziecko jak nie miało dostępu do komputera, tak nie ma. I nie ma co zrzucić winy na nagłą i niespodziewaną pandemię. Ileż to już lat (niezależnie od formacji trzymającej władzę) mówi się o likwidacji wykluczenia informatycznego, mówi się o wyposażeniu wszystkich placówek edukacyjnych w sprzęt informatyczny. Mówi się, mówi się, mówi.

Rzeczywistość zaskrzeczała. Okazało się bowiem, że formuła zdalnego nauczania to nie taka prosta sprawa. Pomińmy stopień zaawansowania informatycznego uczniów i nauczycieli, nie każdy bowiem urodził się z myszką komputerową w ręku. Im dalej, tym trudniej.

Jest jeszcze inna trudność. Nagle pojawiły się wątpliwości na temat: JAK uczyć w trybie „on line”. Nikt z nas nie był przygotowany na taką formę działalności edukacyjnej. Dotąd, twarzą w twarz z uczniami czuliśmy nastrój, dobre lub złe nastroje uczniów. Dysponowaliśmy (uczniowie także) całą gamą komunikatów niewerbalnych, by przekazać to, co trudne do przekazania. Patrząc na klasę, przy odrobinie doświadczenia zawodowego już na początku zajęć byliśmy w stanie przewidzieć, jak nam dzisiaj pójdzie lekcja. Uczniowie też potrafili bez omyłki odgadnąć naszą aktualną dyspozycję psychofizyczną. W obliczu bezdusznego przekazu internetowego te wartości gdzieś się zapodziały. Dopiero w tej sytuacji doceniamy ich znaczenie dla dydaktyki. Dawniej uznawaliśmy je za coś banalnie oczywistego. Pozostało nam poczucie „mówienia w próżnię”, a uczniom doznanie kolejnej odmiany wirtualnej rzeczywistości, z której nic nie wynika.

Żał mi tych koleżanek, które zostały „wkręcone” w pierwsze próby zdalnego telewizyjnego nauczania. Ileż to kpín i zwykłego chamstwa musiały ścierpieć? Fakt, były sparaliżowane strachem. Ale, do diabła, ktoś im tam kazał wystąpić, nałożył na nie bardzo trudny do

spełnienia obowiązków. Nieprawdą jest głupia opinia, że skoro panie są nauczycielkami, to sobie poradzą. Ciekaw jestem, jak poradziliby sobie owi mądrze, którzy tak sądzą.

Z czasem prezentacje w sieci i telewizji zaczęły zmieniać się na lepsze. Nie znaczy to jednak, że będą mogły zastąpić interpersonalny, a w przypadku najmłodszych uczniów, także emocjonalny rodzaj relacji na linii uczeń-nauczyciel.

Całkiem inne zagadnienie stanowi postawa uczniów wobec nowej sytuacji. Jak spowodować, żeby dobrą znajomość posługiwania się komputerem przekuć w świadome uczestnictwo w nauce? Boć przecie zdalne nauczanie to nie to samo, co uczestnictwo w wielogodzinnych (niejednokrotnie) grach komputerowych.

Kolejne pytanie: Czego uczyć? Czy wszystkie treści programowe i i wszystkie przedmioty w swej obecnej postaci nadają się do przekazania przez Internet? Czy nie pora na stworzenie i upowszechnienie pomysłów, metod, które dobrze

mogłyby się sprawdzać w takiej sytuacji? Pewnie, że pora. Ale jak to zwykle w dydaktyce bywa, stworzyć taki system można albo szybko, albo dobrze. Na razie trzymamy się dobrej woli zacnych belfrów, próbujących opanować organizacyjno-biurokratyczny chaos, fundowany przez władze oświatowe różnego szczebla. Marzę zatem, żeby stworzyć stabilny, porządny, sprawny, a przede wszystkim skuteczny, wielowariantowy system nauczania zdalnego. Bez hurraoptymizmu, partyzantki i zbędnego pośpiechu. Żeby może wreszcie doczekać takiej sytuacji, że dobrych pomysłów i słuszych rozwiązań nie zepsujemy zanim je stworzymy.

No i może warto byłoby pomyśleć nad unowocześnieniem podstawy programowej i celów edukacyjnych, skoro samo życie dosyć surowo teraz nas egzaminuje?

No, cóż - to jest temat na zupełnie inną opowieść. □



PIOTR SZYDŁOWSKI

Odłamy towarzyszące protestantyzmowi

1. Anabaptyści

Z początkiem XVI wieku na terenie cesarstwa niemieckiego pojawił się ruch religijny zwany anabaptyzmem, którego podłożem było życie społeczne w ustroju feudalnym i towarzyszący mu ucisk chłopstwa oraz niemieckiego plebsu. Bunt przeciw niesprawiedliwości społecznej, połączony z powstaniem chłopskim, kierowanym przez katolickiego księdza Tomasza Münzera (ok. 1490-1525) przybierał również formy protestów religijnych. Wśród nich stosunkowo duże znaczenie i zasięg miały poglądy religijne anabaptystów.

Powstając przeciw feudalnej władzy państwowej, anabaptyści odrzucili również wszelką władzę religijną, która w owych czasach na ogół dość ściśle współdziałała z władzą świecką. Odrzucili więc hierarchię kościelną, stan duchowny, a nawet kościelne praktyki religijne. Odrzucili wreszcie autorytet Biblii, która – jak wiadomo – słowami św. Pawła Apostoła nakazywała uznawać władzę państwową. Ponieważ chrzest niemowląt uważali za narzucenie człowiekowi panującej religii już w jego dzieciństwie, dlatego odrzucili chrzest dzieci, a swoich dorosłych zwolenników chrzcili ponownie. Z tego powodu zostali nazwani „nowochrzceńcami” bądź „anabaptystami”, która to nazwa pochodzi z greki klasycznej – *anabaptidzo* – chrzczę ponownie. Ponieważ zaś chrztu udzielali przez zanurzenie w wodzie, zwani byli również „nurkami”.

Tomasz Münzer natomiast, który początkowo sympatyzował z Lutrem, odstąpił od współpracy z nim, a nazywając go zniewieścielcem, oskarżył o fałszowanie prawdziwej wiary, gdyż – jego zdaniem – Luter zbyt mocno podkreślał rolę wiary w usprawiedliwieniu, a pomijał rolę uczynków. Münzer głosił, że jego „martwa nauka wiary jest szkodliwszą dla Ewangelii, niż nauka papistów”.



Tomasz Münzer

Anabaptyści głosili więc, że prawdziwa społeczność chrześcijańska składa się z „wybrańców Boga”, z „dusz oświeconych przez Ducha Bożego i obdarzonych łaską widzeń nadprzyrodzonych”. Za jedyne źródło objawienia Bożego uznali nie Pismo święte, ale wewnętrzne światło otrzymywane od Boga, w „tajemniczych objawieniach”. Odrzucając wszelki „urząd kościelny i kaznodziejski” odrzucili też kapłaństwo, a uznawali tylko osobiste oświecenie głosicieli królestwa Bożego. Każdy anabaptysta, jeśli tylko usłyszy w sobie „głos ducha Bożego”, ma prawo i powinien wystąpić publicznie jako prorok i nauczyciel innych. Innymi słowy, każdy z nich praktycznie mógł nauczać czego chciał, nie było bowiem żadnego obiektywnego kryterium prawdziwości nauczanych treści.

Pod wodzą Münzera i Mikołaja Storcha „prorocy” zamierzali założyć na ziemi nowe królestwo Chrystusowe na ruinach dawnego porządku. W tym królestwie wszyscy mieli być sobie równi, wszyscy mieli być kapłanami i królami, bez hierarchii duchownej, bez władzy świeckiej. Wszystkie dobra miały być również wspólne. Królestwo takie postanowili założyć w roku 1521 w Ćwikawie (Zwickau). Wybrali spośród siebie dwunastu „apostołów” i siedemdziesięciu dwóch „uczniów”, których „panem i mistrzem” miał być Münzer. Władze miejskie jednak wtrąciły pięćdziesięciu z nich do więzienia, a przywódcy uciekli – Münzer do Czech, a Storch do Wittenbergi.

Münzer w Czechach nawoływał do swojej „prawdziwej ewangelii” i „czystego słowa Bożego” postulując prowadzenie walki zbrojnej przeciw zwolennikom papieża, bez której Kościół Boży nie odzyska swego pierwotnego, nieskażonego oblicza. Zachęcając książąt do „wielkich czynów Bożych”, Münzer utworzył w Altstädt związek, którego członkowie zobowiązywali się przysięgą do wzajemnej pomocy. Zwolennicy Münzera rekrutowali się z uciśnionego ludu, który z całej okolicy zbierał się w Altstädt. Münzer przeniósł się z Altstädt do Mühlhausen i stanął na czele powstania. Rozpoczęła się wojna, której dzieje znane są z różnych opracowań. Wojna ta zakończyła się bitwą pod Frankenhausen w 1525 r., w której powstańcy ponieśli klęskę, a Münzer został ścięty. Marcin Luter również opowiedział się za zwycięzcami w swoim traktacie „Przeciw morderczym i rozbójniczym bandom chłopskim”.

Anabaptyści rozpiechli się po różnych krajach, najwięcej ich jednak osiadło w Szwajcarii i Niderlandach, gdzie

nadal przepowiadali „nowe królestwo Boże”, odrodzoną ludzkość, opierającą się tylko na prawie moralnym, zapisanym w sercu każdego człowieka, ludzkość wolną od wojen, własności prywatnej, przywilejów społecznych. Potępiali naukę Lutra i Zwingliego jako wiarę przeciwną słowu Bożemu, gdyż pomijała rolę uczynków własnych w procesie usprawiedliwienia człowieka. W polemice z Lutrem używali tych samych sformułowań, jakie on stosował wobec papieża i papistów, nie wahając się nazywać go Antychrystem, popychającym ludzi w objęcia Szatana, którego papież miał być wcieleniem. Wywierali wielki wpływ na swoich słuchaczy, a swoimi wizjami chiliastycznymi oraz obietnicami zaprowadzenia na ziemi królestwa błogosławionych i świętych duchów, zjednywali sobie niezliczonych zwolenników wśród prostego i uciemzonego ludu.

Wielki musiał być ucisk tego ludu i nieznośne życie, skoro religijna wizja lepszego życia wytworzyła w nim wytrwałość i hart w najsroźszych prześladowaniach. Przytoczymy dwie wypowiedzi naocznych świadków, zapisane w ówczesnych kronikach. Konrad Braun pisał: „Widzieliśmy za naszych czasów, jak srogie więzienie, głód, woda i miecz oraz inne straszliwe kary nie mogły odciągnąć nowochrześciców od mniemań błędnych i skłonić ich do odwołania takowych. Sam widziałem niejednokrotnie, jak nawet młodzi ludzie i kobiety szli w ogień, śpiewając i weseląc się, i przyznają się, że nigdy nie oglądałem widowiska bardziej wzruszającego”. Sebastian Frank natomiast pisał: „W ciągu krótkiego czasu nowochrześcicy rozpostarli się po całym kraju, zjednali sobie liczne stronnictwo, wiele tysięcy ludzi ochrzcili i wiele dobrych serc ku sobie

pociągnęli. Gdyż mówili oni tylko o miłości, o wierze i krzyżu; pośród cierpień okazywali wytrwałość i pokorę, łamali chleb między sobą na znak jedności i miłości, wzajemnie przychodzili sobie w pomoc, mieli wszystko wspólne i nazywali się wzajem braćmi”. Tenże Frank dalej dodaje: „W wielu okolicach po tyrańsku chwytają nowochrześciców, wtrącają ich do więzienia i męczą ogniem, mieczem, wodą (...). Znosili zaś sekciarze ci prześladowanie, jakby męczennicy, cierpliwie i odważnie. Nawet Luter zdumiony napisał w grudniu 1527 r.: „Nowa sekta anabaptystów, żyjących wielką ideą, przedziwnie się rozwija. Z wielką odwagą umierają oni w ogniu i wodzie”.

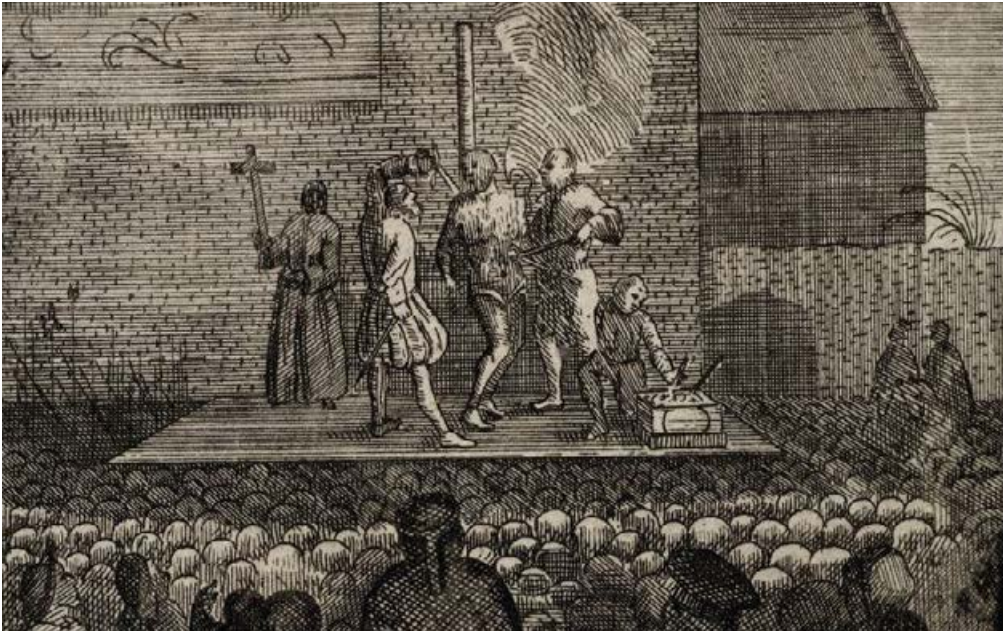
Niestety, jak to zwykle bywa, do łagodnych, cierpliwych, dzielnych, oczekujących odmiany w życiu społecznym anabaptystów dołączyli się również ludzie, którzy zaczęli wcielać w życie szlachetne ideały siłą i je w ten sposób wypaczyli. Uważali siebie za „wtajemniczonych w prawdziwe tajemnice” i usiłowali przemocą wytępić „bezbożnych i bałwochwalców”, a wspólnotę dóbr wprowadzić drogą przewrotu społecznego.

Prześladowanie rozpoczęło się w Zurichu w 1526 r. Rada miejska poleciła anabaptystom przyjąć nową, państwową wiarę protestancką, a opornych karała więzieniem i topieniem. Zabroniła przyjmowania ich w domu, dawania im posiłków, a majątki ich konfiskowała. Takie samo prześladowanie zastosowano w Bazylei, więc anabaptyści emigrowali na tereny południowych Niemiec i Austrii, gdzie zresztą również byli prześladowani. W Augsburgu np. anabaptystów więziono, ścinano, piętnowano im policzki, wrywano języki. Związek Szwabski upoważnił dowódców wojskowych do zabijania anabaptystów bez sądu. Cesarz wydał przeciw nim

(4.01.1528) edykt, nakazujący oświecać błądzących, a upartych i powtórnie upadłych karać śmiercią, zwłaszcza zaś ich przywódców. Również Luter nazwał anabaptystów wysłannikami Szatana i radził karać ich śmiercią. „Ponieważ są nie tylko bluźniercami ale i buntownikami, pozwólcie użyć wobec nich miecza” – pisał.

Prześladowania jednak nie wyniszczyły herezji, anabaptyzm szerzył się, zyskując wyznawców nawet w wyższych stanach społecznych. Anabaptyści rozwinęli z kolei swoją działalność w Strassburgu. Przybył tam ze Śląska w roku 1529 Kacper von Schwenkfeld i głosił naukę o „ubóstwionym człowieczeństwie Chrystusa” i o „duchowym, niewidzialnym Kościele”, odrzucając wszelkie pośrednictwo między Bogiem a człowiekiem, naukę o sakramentach i kult zewnętrzny. Przybył również do Strassburga ze Szwabii kuśnierz Melchior Hofmann i wykladał Pismo św., zwłaszcza Apokalipsę. Powołując się na swoje tajemne widzenia nawoływał do zburzenia Babilonu (tj. Kościoła katolickiego) i przewidywał rozpoczęcie się Królestwa Chrystusowego. Zmarł w strasburskim więzieniu w 1532 r. „Królestwo Syjonu” natomiast, którego nie zdołał on zaprowadzić w Strassburgu, niebawem powstało w Münster (Westfalia).

W tym to biskupim mieście (Münster), po śmierci biskupa Eryka (14.05.1532) wybuchło z inspiracji anabaptystów powstanie. Wedle narracji prezentującej stanowisko Kościoła katolickiego, panującego w danym regionie, którego hierarchia miała (jak zaraz zobaczymy) poważne powody do obaw, a nawet do strachu, pod płaszczykiem hasel religijnych zaczęli działać zwykli rabusie, którym nie na religii zależało, lecz na własnym wzbogaceniu się. Powstańcom przewodzili: handlarz płótnem Knipperdolling,



Stracenie przywódców anabaptystów Münster – 1535 r.

wędrownym aktor Jan z Lejdy i piekarz Jan Mathys. Mieszczanie wyłonili Komitet złożony z 36 członków i przystąpili do zaprowadzania w mieście Ewangelii. Na wezwanie Knipperdollinga napływali do miasta zewsząd ludzie różnego pokroju. „Do Münster pociągnęli więc – pisze naoczny świadek Gresbeck (widomnie nieprzychylny anabaptystom) – Holendrzy i Fryzowie, złoczyńcy ze wszystkich krajów, którzy nigdzie nie mogli pozostać i zebrali się tam”. Jak informuje inny dziejopis (też do nich wrogo nastawiony), niejaki Herman Kerssenbroick (*Anabaptistici furoris historica narratio*, t. 3, Lipsk 1730): „liczbę odszczepieńców w tym mieście głównie powiększyli ludzie, którzy zmarnowali majątek rodzicielski, niczego nie dorobili się własną pracą, próżniacy, którzy żyjąc cudzym kosztem i uprzykrzywszy sobie niedostatek, myśleli o złupieniu duchowieństwa i zamożnych mieszczan, słowem ludzie, którzy wicherzyli przeciwko duchowieństwu nie z powodu religii,

a dla pieniędzy i zamierzali wprowadzić wspólność dóbr ziemskich”. Wedle tych wyraźnie stronniczych relacji, z takiego „elementu społecznego” wyrosło w mieście „królestwo anabaptystyczne”, zwane przez nich samych „Królestwem Syjonu”.

Anabaptyści obalili luterański magistrat. Nowymi burmistrzami zostali Knipperdolling i krawiec Knippenbroick. Zaczęła się akcja niszczenia. Ograbiano kościoły i klasztory, kunsztowny zegar katedralny rozbito młotami, zniszczono najpiękniejsze obrazy i szklane malowidła oraz inne dzieła sztuki. Przez osiem dni płonęły archiwa i biblioteki miejskie. Spalono niektóre kościoły. Celem zatarcia chrześcijańskiej przeszłości zniesiono święta kościelne i niedziele. W katedrze urządzono parodię mszy, składając w ofierze psy, koty, szczury i nietoperze. Mieszkańców zmuszano do przyjęcia chrztu, albo do opuszczenia miasta, z którego tłumnie uchodzili katolicy i protestanci. Po oczyszczeniu

„świętego miasta” z „bezbożnych”, pozostały w nim wyłącznie „dzieci boże”, które na rozkaz przywódców oddały do wspólnego skarbca całe swoje złoto i srebro. Skarbnikiem został Jan Mathys, który dzięki temu „był potężniejszy od burmistrza”, a który 5.04.1534 r. zginął w czasie wycieczki zbrojnej do obozu biskupiego.

Jego miejsce zajął Jan z Lejdy, na polecenie którego wybrano – wzorem dawnego Izraela – dwunastu starszych, którzy byli prawodawcami, wręcz panami życia i śmierci. Wprowadzono wielożeństwo, a kobiety – wedle relacji kronikarzy, których trudno byłoby posądzać o bezstronność – zmuszono do małżeństwa pod groźbą śmierci. Rothmann pojąć miał cztery żony, Jan z Lejdy szesnaście. Kilkudziesięciu mężczyzn, sprzeciwiających się wielożeństwu, stracono. Okrutnie karano tych, którzy powstawali przeciwko „prawdziwej ewangelii”, wspólnocie dóbr i wielożeństwu. Popelniano rzekomo najohydniejsze zbrodnie. Społeczeństwo tamtejsze opanował istny amok religijny. Przytoczmy zdania wyjęte z ówczesnych kronik: „Marzycielstwo religijne, rozpusta i okrucieństwo sprzymierzyły się ze sobą. Wszystkie nowe dzieci Boże, mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi, jakby szaleni i opętani od złego ducha, prorokowali i przepowiadali. Szczególną zaciekłością odznaczały się kobiety. Niektóre z nich biegały w rozpuszczonej odzieży, inne wznosiły się w szalonych podskokach nad ziemię, jak gdyby latać w powietrzu chciały. Inne zaś tarzały się w błocie, niektórym piana występowała na usta. Niektóre wrzeszczały, że widzą Ojca, otoczonego tysiącami aniołów, trzymającego w ręku różgę dla karania bezbożnych; inne modliły się do mosiężnego koguta, służącego na wieży do wskazywania kierunku

wiatru, oświetlonego promieniami słonecznymi; tym się zdawało, że Bóg Ojciec siedzi na domu; inne znowu krążyły jak wściekłe po ulicach i zapowiadały bliskie, powtórne przyjście Chrystusa na ziemię.”

Wreszcie Jana z Lejdy ogłoszono „królem królów i cesarzy”, namaszczono go „w imię Boże”, wręczono mu miecz i ogłoszono królem „Nowego Syjonu”. Knipperdolla mianowano „namiestnikiem królewskim”, a Rothmanna „mówcą królewskim”. Wprowadzono nowy kodeks przewidujący karę śmierci za wszystkie grzechy cięższe, takie np. jak obmowy, przekleństwa, bluźnierstwa, nieposłuszeństwo dzieci wobec rodziców. Sześciu „starszych” zasiadało codziennie w sądzie, wyroki czerpiąc z otwartej przed nimi Biblii. Knipperdolling chodził po mieście w asyście czterech pomocników (drabów), obserwował zło i pełnił rolę prokuratora. Otaczał go wspaniały dwór, a Jan z Lejdy wkładał sobie na głowę cesarską koronę ze szczerzego złota, posiadał harem, w którym pani Divora, wdowa po proroku Mathysie, była „najwyższą królową”, otoczona blaskiem i przepychem.

Całą swą „działalność” Jan z Lejdy uzasadniał motywami religijnymi wyjaśniając, że miecz sprawuje z woli Bożej, nic nie robi z pychy, lecz na chwałę Bożą, że wkrótce jeszcze większy blask go otoczy i cały lud Izraela zasiądzie na srebrnych stolcach i będzie jadać ze srebrnych naczyń, bliska bowiem jest godzina, w której on – król Nowego Syjonu – wyruszy, aby objąć panowanie nad wszystkimi ludami.

Wojska księcia-biskupa i Filipa, landgraфа heskiego, obległy wreszcie Münster i w nocy z 24 na 25 czerwca 1535 r. miasto padło. Stawiających opór wycięto, a przywódców – Jana z Lejdy,

Knipperdollinga i Krechtinga – po długim więzieniu szarpano rozpalonymi szczypcami i zakłuto rozpalonym sztyletem. Badacze podkreślają, że książę-biskup, który obejmując biskupstwo nie miał nawet święceń diakonatu, nie w obronie wiary katolickiej stłumił rokosz, lecz w interesie własnych posiadłości. Sprzyjał on też luteranizmowi, lecz próby zaprowadzenia go w Münster rozbiły się o niezłomny opór ludności katolickiej.

Lokalne władze tępiły anabaptystów, gdziekolwiek się pojawili, a pojawiali się w całej Europie. Jedynie w Holandii byli tolerowani przez władzę. Tam też wywarł na nich łagodzący wpływ Menno, który stworzył umiarkowany kierunek anabaptyzmu. Jedni badacze uważają go wręcz za drugiego założyciela tej sekty, inni zaś za twórcę nowej herezji, noszącej nazwę mennonitów.

2. Mennonici

Anabaptyści nie byli więc ruchem jednolitym. Obok skrzydła skrajnego wyodrębniło się na terenie Holandii również skrzydło umiarkowane. Przewodził mu rzymskokatolicki kapłan Menno Simons z Holsztynu (ok. 1492-1559), który z powodu stracenia jednego z anabaptystów wystąpił z Kościoła katolickiego i od imienia którego wzięli oni swą nazwę. Menno, w książce pt. *Fundamentalbuch vom rechten christlichen Glauben* (1556) odrzucił niezdrowy, fantastyczny mistycyzm, anarchię i „teorię miecza” skrajnych anabaptystów, ale też odrzucił hierarchię i kapłaństwo. Nie interesował się stroną administracyjno-ustrojową swego Kościoła, przyznając każdemu zborowi samodzielność. Nie formułował żadnych dogmatów uważając, że cała doktryna religijna zawarta jest w Biblii. Z sakramentów uznawał chrzest, który

można było przyjmować od 14 roku życia oraz eucharystię, pojmowaną zresztą po kalwińsku, jako pamiątkę Ostatniej Wieczerzy. Z chrztem łączył on obrzęd obmywania nóg. Głosił, że przez te „sakramenty” Bóg oddziałuje na człowieka. Od kwakrów i pietystów Menno Simons zaczerpnął koncepcję chrześcijaństwa praktycznego, któremu dał wyraz pisząc w *Fundamentalbuch*: „Prawdziwe chrześcijaństwo nie jest systemem nauk i dogmatów, ale naśladowaniem Chrystusa w istotnej odmianie serca i błogim, spokojnym życiu”.

Mennonici na ogół dosłownie wykładają Biblię, wymagają rygorystycznego przestrzegania przykazań boskich i rad ewangelicznych, potępiają nie tylko rozwody (z wyjątkiem wypadku zdrady małżeńskiej), ale i separację małżeńską, światowe rozrywki i modę kobiecą. Odmawiają też składania przysięgi, pełnienia funkcji publicznych i służby wojskowej.

Z biegiem czasu doktryna mennonitów zmieniła się i pojawiły się wśród nich rozłamy. Powodem pierwszego rozłamu, który miał miejsce w 1554 r., były wewnętrzne spory na temat karności kościelnej. Mennonici podzielili się na tzw. „szorstkich”, zwanych również „waterlanderami” (od ich siedziby w Waterlandzie w Holandii północnej) i tzw. „delikatnych”, zwanych również „woningarami”, „gdańszczanami” i „flamingarami”.

Mennonici „szorstcy” rozpadli się w roku 1664 na dwie grupy. Pierwsza opowiadała się za dawnymi zasadami ortodoksyjnymi i nosiła nazwy: „apostoliści” (od jej założyciela Samuela Apostoła, zmarłego w Amsterdamie w 1644 r.) i „sonniści” (gdyż na ich świątyniach były znaki wyobrażające słońce). Druga grupa, zwana „galenistami” (od nazwiska ich przywódcy i lekarza Galenusa



Charakterystyczne domy Mennonitów z podcieniami na Żuławach

Abrahama de Haen, zmarłego w 1706 r.) uległa w znacznej mierze wpływom Arminiusza i Socyna. Mennonici „delikatni” rozpadli się również na „dompeleystów” i „ukewalistów” (zwolenników chłopca z Groningen, Uke-Walleesa, zmarłego w 1651 r.).

W 1801 r. obie grupy połączyły się, a w 1811 r. powołały Związek Mennonitów z siedzibą w Amsterdamie, do którego jednak nie weszli wszyscy. Poza Związkiem istnieli odrębnie staromennonici, nazywani również „ammańczykami” (od imienia ich przywódcy Ammanna), „bracia chrześcijańscy”, zwani również holdermanistami (od M. Holdermanna, ich przywódcy), „egliści”, „menonici reformowani”, „bracia huterscy”. Mennonici rozproszyli się po różnych krajach, ale najwięcej ich osiadło w USA, gdzie przyczynili się do zwycięstwa zasady rozdziału Kościoła od państwa oraz zasady wolności religijnej.

3. Bracia Polscy – Arianie

Nazwa „arianie” pochodzi od Ariusza (ok. 256-335), aleksandryjskiego myśliciela chrześcijańskiego, który swoją doktrynę sformułował w dziele pt. *Thalia*, a z którego do naszych czasów pozostały jedynie fragmenty. Jego poglądy znamy z pism innych teologów i dokumentów soborowych, odzwierciedlających spory na temat Trójcy świętej.

Antytrynitarские poglądy Ariusza odżyły w XVI wieku we Włoszech, Francji, Hiszpanii, Szwajcarii, w Niemczech i w Polsce. Ruch ariański rozwijał się równoległe do głównych nurtów reformacji – luteranizmu, kalwinizmu i anglikanizmu.

We Włoszech poglądy antytrynitarские głosili Leliusz i Faust Socynowie. Ten drugi, Faust Socyn (Fausto Sozzini, 1539-1604) reprezentował orientację humanistyczną, antropocentryczną i racjonalistyczną w teologii. Przesuwał



Ariusz patron Braci Polskich

w religii chrześcijańskiej główny akcent ze spraw dogmatycznych na problemy etyczne, podkreślając i rozwijając moralne oraz intelektualne możliwości człowieka. Zakwestionował podstawowy dogmat chrześcijaństwa o odkupieniu grzechów ludzkości przez śmierć krzyżową Chrystusa. Głosił, że grzech Adama był jego własnym grzechem, nie obciążającym całej ludzkości, Chrystus-Zbawiciel natomiast wskazał jedynie ludziom drogę do życia wiecznego. Człowiek zaś, opanowując sukcesywnie siły przyrody, może sobie stworzyć w przyszłości nawet rodzaj „raju na ziemi”.

Wypędzony z Włoch, Faust Socyn przybył w roku 1579 do Polski, gdzie zastał pierwszych polskich antytrynitarzy, zwanych Braćmi Polskimi, nad którymi przywództwo objął w roku 1598. Bracia Polscy (arianie) wyłonili się z Kościoła Kalwińskiego Małopolski w latach 1562-1563. W ich ruchu można wyodrębnić okres wczesny, do którego należeli Grzegorz Paweł z Brzezina i Marcin Czechowicz oraz okres późniejszy, reprezentowany przez takich myślicieli jak Jan Crell, Samuel Przytkowski, Jonasz Szlichtyng, Hieronim Moskorzowski, M. Ruar, Joachim Stegman Starszy, Walenty Szmalc, Andrzej Wiszowaty, J. L. Wolzogen.

We wczesnym okresie swej działalności Bracia Polscy odrzucali tylko dogmat

o Trójcy św. jako sprzeczny z rozumem. Natomiast w okresie późniejszym dodatkowo odrzucali dogmat o odkupieniu i grzechu pierworodnym, przyjmując jedynie dogmat o istnieniu Boga oraz istnieniu objawienia. Refleksja teologiczna Braci Polskich zmierzała w kierunku racjonalizmu, wypracowania racjonalnej religii, o czym świadczy praca Andrzeja Wiszowatego pt. *Religio rationalis*. Postulował w niej wypracowanie „religii zgodnej z rozumem”, który to postulat zostanie później podjęty przez deizm angielski i wywrze mocny wpływ na teologię angielską i holenderską.

Działalność Braci Polskich koncentrowała się w Rakowie. Powstała tam drukarnia oraz głośna na całą Europę Akademia Rakowska, dzięki której Raków zwany był Atenami Sarmackimi.

Proracjonalistyczne nastawienie arian polskich najprawdopodobniej nie spowodowałoby ich wygnania, gdyby ich poglądy społeczne nie uderzały w istniejący ustroj i nie stanowiły zagrożenia dla klas społecznie uprzywilejowanych, w tym również dla Kościoła katolickiego. Cechą charakterystyczną Braci Polskich był radykalizm społeczny. Występowali oni przeciw poddaństwu i pańszczyźnie chłopów głosząc, że każdy powinien żyć z pracy rąk własnych. Ujawniali w związku z tym niechęć do instytucji państwa, odrzucali w konsekwencji urzędy państwowe, potępiali wojny i stosowanie kary śmierci. Widząc skutki społeczne, wynikające ze związania się jednej religii z państwem, tj. władzy duchownej z władzą świecką, na długo przed Locke'm postulowali rozdział Kościoła od Państwa oraz wypracowywali humanistyczną koncepcję tolerancji wyznaniowej. Widzieli państwo wzorcowe

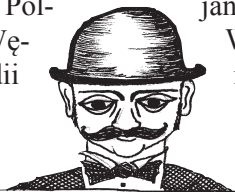
jako organizm społeczny, który – jak pisał J. Szlichtyng – „przyjmuje i wspomaga ludzi wszelkiego rodzaju i wyznania: i bałwochalców i pogan i heretyków i odstępców od imienia Chrystusa (...), byleby tylko wszyscy żyli w spokoju i dochowali wierności państwu, które pośród tej tak wielkiej niejednorodności wszystkim w równym stopniu opieki swej udziela”. Arianie polscy do minimum zredukowali sformalizowaną obrzędowość religijną, podkreślali natomiast w pismach i stosowali we własnym życiu etykę ewangeliczną i chrześcijański pacyfizm. A wszystko to działo się w okresie szczytowego nasilenia akcji kontrreformacyjnej. Chcąc więc uniknąć zagrożenia istniejącego porządku społecznego, w roku 1658 Sejm wydał uchwałę, mocą której Bracia Polscy winni w ciągu trzech lat albo nawrócić się na religię katolicką, albo sprzedawszy swoje majątki – opuścić Polskę.

Wypędzeni z ojczyzny Bracia Polscy znaleźli schronienie na Węgrzech, w Prusach, w Holandii

i Anglii, gdzie rozwijali swoją naukę, wydając m.in. pisma Krella, Szlichtynga, Wolzogena, Wiszowatego i Przypkowskiego, w obszernym 10-tomowym dziele *Bibliotheca Fratrum Polonorum* (Amsterdam 1665-1668). Tam opublikowali *Katechizm Rakowski* tłumaczony na języki niemiecki i angielski. Stanisław Lubieniecki opublikował *Historię reformacji polskiej* (Amsterdam 1685), a Krzysztof Sandiusz *Bibliotekę Antytrynitarzy*.

Niektórzy z wygnańców, zgrupowani na obczyźnie przez T. Lindseya i Józefa Priestleya, przyjęli nazwę Unitarian i zorganizowali w roku 1774 odrębny Kościół. Byli jednak prześladowani (w Anglii im wszystkim groziła kara śmierci), więc pod wodzą Priestleya znaczna ich część wywędrowała do Ameryki, gdzie w Filadelfii – w rok po trzecim rozbiórce Polski – założyli pierwszą gminę na tym kontynencie. W roku 1932 powstał

Międzynarodowy Związek Chrześcijaństwa Liberalnego i obrońców Wolności Religii, kierujący się ideologią unitarian. □



SŁANEJ DOLY?

MYSZ

Małżeństwo sławnego aktora i reżysera filmowego, bohatera wielu komedii, np. *Gorączka złota* czy *Światła wielkiego miasta* – Charlesa Spencera Chaplina z Litą Grey nie było szczęśliwe. Skończyło się rozwodem w atmosferze skandalu, gdyż żona aktora została przedstawiona w niekorzystnym świetle.

Podczas jednej z małżeńskich kłótni, kiedy Chaplin czynił żonie różne zarzuty, ta krzyknęła:

- Czego właściwie ode mnie chcesz? Przecież to nie ja latałam za tobą przed ślubem!

- To prawda, ale nie mogło być inaczej – odpowiedział Chaplin. – Przecież pułapki na myszy nie latają za swoimi ofiarami, a jednak je łapią.



JAN CZAJKOWSKI

Kłopoty Polaków z LGBT

Obserwując zmaganie się naszego społeczeństwa z inwazją koronawirusa, najpierw popadłem w zadumę, która z biegiem czasu przekształciła się w zdumienie, po przeżyciu którego ponownie powróciła do mnie zaduma nad... Opowiem właśnie, nad czym.

Wiadomo, że ludzie wierzący zawsze zanosili modły do Boga z prośbą o uśmierzenie zarazy. W XVI wieku na przykład święty Karol Boromeusz (1538-1584), biskup Mediolanu, w czasie szalejącej zarazy modły do Boga łączył z nieustannymi procesjami, w nich bowiem upatrywał skuteczny środek na likwidację zarazy, którą interpretował jako karę boską za ludzkie grzechy. Zdumienie jednak mnie ogarnęło, gdy napotkałem w prasie informacje o metodach walki z pandemią, stosowanych przez niektórych polskich kapłanów katolickich. Pisano o nich w *Przełądzie* (6-13.04.2020), ilustrując tekst zdjęciami fotograficznymi. Oto jeden z nich: ks. Tadeusz Guz (szczycący się tytułem profesora!), w swojej kapłańsko-profesorskiej mądrości doszedł do wniosku, że ksiądz nie może zarazić koronawirusem siebie czy innych podczas odprawiania mszy czy podawania komunii, ponieważ...”kapłan ma konsekrowane ręce”. Drugi natomiast kapłan rzymskokatolicki, ks. Andrzej Ziombra, wynalazł bardziej skuteczny (jego zdaniem) niż metody laboratoryjne sposób walki z zarazą. Ubrał się mianowicie w szaty liturgiczne i z hostią w monstrancji, w towarzystwie grupy wiernych, maszerował ulicami Legnicy; w przekonaniu, że czynność ta wypędzi z miasta – a może i z Polski

– owego wirusa. Jeszcze inny kapłan ks. Roman Kurblewski, również uzbrojony w monstrancję, przekonywał swoich słuchaczy, żeby nie poddawali się psychozie strachu i nie popadali w histerię, ale śmiało uczęszczali do kościoła na nabożeństwa (mimo, że polski Episkopat zachęcał do uczestniczenia w nabożeństwach *on line*). Natomiast we Wrocławiu, salezjanin ks. Leonard Wilczyński głosił, że ta epidemia „to kara boska za grzech homoseksualizmu”. Warszawski z kolei ksiądz Sławomir Abramowski pisał na Facebooku, że „bombą biologiczną, która rozniosła zarazę po Madrycie, była manifestacja genderystów” (GW 14. V. 2020). Otóż zdziwienie, więcej – zdumienie moje wywołują metody poskramiania koronawirusa stosowane przez księży, zamiast zaufać setkom laboratoriów z całego świata, które pracują nieustannie, by zdobyć palmę pierwszeństwa, sławę i nagrodę, poszukując *antidotum*- środka zdolnego opanować zarazę.

Zdumienie natomiast, zapierające wręcz dech w piersi, opanowało mnie, gdy czytałem w prasie wypowiedzi arcybiskupa krakowskiego Marka Jędraszewskiego, człowieka wykształconego na papieskim uniwersytecie GREGORIANUM w Rzymie, posiadającego tytuł profesora nauk teologicznych. Czytając jego wypowiedzi nie wierzyłem własnym oczom. Napotkałem też w jakimś piśmie wypowiedź Magdaleny Grochowskiej, która potwierdziła moje wątpliwości twierdząc, że kazania tego hierarchy są zatrute jadem nienawiści, nie mającej nic wspólnego z Chrystusowym przykazaniem miłości bliźniego.



Hierarcha ten, tak bardzo kochając Boga, okazywał mianowicie jednocześnie nienawiść do człowieka. Oczywiście, nie do każdego człowieka, lecz do specyficznej grupy ludzi; ciesząc się mianowicie, że (cytuję) „opuściła Polskę zaraza czerwona”; wyraził zarazem smutek i swój duszpasterski sprzeciw wobec napłynięcia do Polski „zarazy tęczowej”. Słowa te skierował przeciw odmiennym praktykom seksualnym tych osób, które Natura obdarzyła ową seksualną odmiennością, określaną w skrócie czterema literami LGBT. Za swą walkę z tymi odmiennościami metropolita krakowski został na Zamku Królewskim w Warszawie odznaczony ZŁOTYM MEDALEM OBRÓŃCY WARTOŚCI. Po jego bojowym zawołaniu jak przysłowiowe grzyby po deszczu podnosiły swe katolickie głowy niektóre samorządy terytorialne podejmując uchwałę: TEREN WOLNY od LGBT. Samorządów takich naliczono w Polsce około stu. Nie dziwię się samorządom terytorialnym, reprezentują je bowiem ludzie nieuświadomieni w procesie powstawania i rozwoju płodu ludzkiego, są natomiast zasłuchani w głosy swoich przywódców religijnych. Dziwię się natomiast metropolicie krakowskiemu, że wiedzę swą ograniczył wyłącznie

do dyscyplin teologicznych, pomijając informacje z fizjologii o powstawaniu płodu ludzkiego. A wiedza ta, wypracowana przez rzeczoznawców i utrwalona w opracowaniach naukowych, jest powszechnie dostępna. Chcąc wypowiadać się na ten temat należy tę wiedzę posiąść i się jej trzymać. Oto ona.

Owe cztery litery: LGBT rozpoczynają w języku angielskim cztery wyrazy określające cztery odmienne zjawiska płciowe w gatunku ludzkim (zresztą – dodajmy – nie wyłącznie ludzkim), mianowicie: L=Lesbian (pol. lesbijki), G=Gay (geje), B=Bisexual (dwupłciowce) i T=Transgender (transpłciowce). Praktykowanie tych czterech odmian seksualnych zachowań uznane zostało przez teologów za grzech ciężki, inaczej śmiertelny (cokolwiek by to zresztą miało znaczyć). I w tym miejscu jest przysłowio- wy pies pogrzebany.

Potępienie bowiem jest błędem wychowawczym i nieuczciwym napiętnowaniem osób o tej odmienności płciowej. Dlaczego nie wolno tego robić? Dlatego (czego teologowie nie wiedzą, a wiedzieć powinni), że w procesie kształtowania się płodu w łonie matki może zachodzić i *de facto* często zachodzi awaria spowodowana przez Naturę,

a mianowicie zmiana w kodzie genetycznym. Jest to po prostu usterka.

Osoby nią dotknięte tej usterki nie spowodowały, otrzymały ją w kodzie genetycznym. One niczym nie zawiniły, że są takie, jakie są. Ich wyleczyć z tej usterki nie można. Leczenie jest niewykonalne! Dlatego, właśnie dlatego nie wolno ich piętnować ani prześladować; zasada ta dotyczy również podejmowania uchwał o „terenie wolnym od LGBT”. Piętnowanie ich jest działalnością etycznie naganną i świadczy o niedoinformowaniu „żeby nie powiedzieć o głupocie, tak zwanych „obrońców wartości”. W atmosferze panującej w Polsce w tych sprawach brakuje tylko trzyosobowych bojówek, które uzbrojone w pałki ruszyłyby w teren oczyszczać Polskę z tej „zdegenerowanej zarazy”. Przedsmak już był niedawno na słynnym „Marszu równości” w Białymstoku.

Przykre też okazały się konsekwencje międzynarodowe dla samorządów terytorialnych podejmujących uchwały o „terenach wolnych od LGBT”. Oto kilka przykładów. W roku 2015, po podjęciu uchwały o terenie wolnym od LGBT przez samorząd miasta Kraśnika (w województwie lubelskim), burmistrz miasta Mirosław Włodarczyk w towarzystwie całej swojej rodziny oraz około 200 urzędników i mieszkańców miasta udał się do Częstochowy, gdzie na Jasnej Górze dokonał zawierzenia Kraśnika Niepokalanemu Sercu Maryi, Królowej Polski. Gdy dowiedziała się o tym francuska gmina Nogent-sur-Oise od piętnastu lat współpracująca z Kraśnikiem w dziedzinie kultury, zerwała tę współpracę. Jean-François Dardenne, mer gminy, zapowiedział zawieszenie wszystkich projektów partnerskiej wymiany. Podobnie radni innej francuskiej gminy Saint-Jean-de-Braye jednogłośnie zerwali współpracę z małopolskim Tuchowem z powodu podjętej tam uchwały o LGBT, lekceważącej prawa człowieka. Niemieckie miasto Schwerte natomiast zerwało

partnerską współpracę z Nowym Sączem. Powodem zerwania była w tym przypadku przygotowana przez skrajnie konserwatywną organizację ORDO IURIS Karta Praw Rodziny i wprowadzony zakaz Marszu Równości. Podsumowując, samorządowcy (na szczęście nie wszyscy), zasluchani w głosy swoich przywódców religijnych, walcząc z ideologią gender, walczą z przysłowiowymi wiatrakami; a nie rozumiejąc natury LGBT, są ślepi. Zdają się nie pamiętać, że gdzieś w Piśmie świętym napisano: „gdy ślepy ślepego prowadzi, obaj w dół wpadną”. Wpadną oni oraz ich ideowi inspiratorzy.

Przykre również dla Polski okazały się szersze niż umowy o partnerstwie miast konsekwencje międzynarodowe za zwalczanie osób obejmowanych skrótem LGBT.

Ranking ILGA EUROPE jest najważniejszym europejskim rankingiem badającym poziom równouprawnienia osób LGBT w 49 krajach europejskich. Wyniki jego badań nad poziomem równouprawnienia lokują Polskę w czołówce dziesięciu państw Europy o najniższym poziomie równouprawnienia osób LGBT. W rankingu tym Polska zajęła ostatnie miejsce w Unii Europejskiej. Czy można więc dziwić się, że w grudniu ubiegłego roku Parlament Europejski potępił Polskę za działania wrogie środowiskom LGBT?

Ponadto, powstałe w roku 1996 Stowarzyszenie NIGDY WIĘCEJ, będące niezależną, apolityczną organizacją ekspercką, monitoruje zachowania ksenofobiczne w krajach europejskich. Opracowało ono ostatnio raport pt. WIRUS NIENAWIŚCI. BRUNATNA KSIĘGA CZASU EPIDEMII. W raporcie tym nazywa wirusem przejawy ksenofobii i dyskryminacji osób LGBT w Polsce. Doczekaliśmy się więc negatywnej oceny ze strony światłych środowisk Zachodniej Europy. □

KAZIMIERZ PASENKIEWICZ

Polska Organizacja Wojskowa, Komenda Naczelna nr 3 na Ukrainie

Po wybuchu wojny w 1914 r. społeczeństwo polskie na kresach wschodnich było przeświadczone, że jednym z głównych problemów przyszłej konferencji pokojowej będzie sprawa Polski. Jeśli zwycięży Ententa, to połączone ziemie etnicznie polskie utworzą jakiś organizm autonomiczny w większym lub mniejszym stopniu zależny od Rosji, odpowiednio do jej udziału w zwycięstwie.

Opinia społeczna w Galicji, upatrującej głównego wroga Polski Niepodległej w Rosji, spodziewała się, że zwycięstwo państw centralnych przyniesie względną niezależność państwową Polsce uzależnionej od Niemiec i Austrii, rządzonej przez dynastię Habsburgów.

Trzeba stwierdzić, że przed samą wojną i w pierwszym roku jej trwania przenikały na Ukrainę agitacje i wpływy koncepcji galicyjskiej. Później osłabły. W latach 1915-1916 ucichły spory polityczne, ale w 1917, gdy rewolucje rosyjskie podważyły bojową wartość Rosji jako sojusznika Ententy, wybuchły z nową siłą.

W latach 1918-1919, zwłaszcza po klęsce państw centralnych, najśmielsze marzenia Polaków o Polsce Niepodległej przybrały realne kształty. Spory o jej przyszły ustrój, rolę w Europie i o granice rozgorzały z wielką siłą. Społeczeństwo polskie opanowała euforia. Ogarnęła ona przede wszystkim młodzież walczącą na frontach, ale także młode kobiety i dziewczyny pozostające w domu, a częściowo także starsze społeczeństwo.

Zapanowało przekonanie, że powstanie silnej Polski wymaga walk i ofiar, co nie było prawdą. Każdy poczuł się odpowiedzialnym za losy Polski. Społeczeństwo ogarnęło przemożne dążenie do organizowania się i działania. Kierunki i cele tego działania nie zawsze były zgodne, często były sprzeczne, ale każda ze stron była przekonana o swojej racji.

Do już istniejących na Ukrainie stowarzyszeń polskich (Towarzystwo Dobroczyńności, Towarzystwo Oświatowe, Klub Sportowy PTG i towarzyskie Ogniwo) dołączył się długi szereg nowopowstałych organizacji społecznych, politycznych i wojskowych. A więc: Towarzystwo Przyjaciół Żołnierza Polskiego, szereg towarzystw opieki nad uchodźcami, organizacje harcurskie, organizacje polityczne: Polski Związek Polityczny, Polski Związek Demokratyczny „Dniepr”; Centrala Demokratyczna i wiele innych.

Organizacje społeczne spełniały funkcje wielkiej wagi dla przyszłej Polski. Pomogły przetrwać wojnę milionowym rzeszom uchodźców, uczyły dzieci języka, budziły miłość i przywiązanie do sponiewieranej Ojczyzny.

Inaczej przedstawiała się działalność organizacji politycznych. Była to gra w ciemno. Przyszłość Polski zależała bowiem od zwycięskich państw, ale decyzje ich musiały być podejmowane w konkretnej rzeczywistości. Dla przyszłego państwa byłoby korzystne, gdyby naród



J. Piłsudski przed szeregiem POW

zaprezentował się jako zwarty i świadomy własnych możliwości, gotowy do walki. Natomiast organizacje polityczne ujawniały i nasilały antagonizmy i niezgodę. Działanie ich było szkodliwe – osłabiały i dezorganizowały naród.

Jeszcze inaczej przedstawiała się sprawa polskich organizacji wojskowych. Bliska klęska państw centralnych skłoniła legiony polskie, walczące w ich szeregach, do wycofania się. Walkę zbrojną przejęła po legionach nielegalna organizacja wojskowa obozu Piłsudskiego: POW.

Orientacja proaustriacka odpadła, zastąpiła ją orientacja antyniemiecka. Orientacja antyrosyjska przekształciła się we wrogość do tych sił, które wstąpiły na arenę działań po upadku caratu. A więc wrogość lub nieprzyjaźń do bolszewików, Ukraińców, denikinowców.

Rewolucja zastała setki tysięcy młodych Polaków w szeregach rosyjskiej armii. Armia ta rozpadała się na czerwoną i białą – walczące ze sobą nowopowstałe formacje. Tworzyły się także oddziały narodowe na Kaukazie i w Azji.

Polityka gospodarcza rządu bolszewickiego, dążącego do wywłaszczenia

posiadaczy nieruchomości, godziła na Ukrainie, gdzie nieruchomości w dużej części należały do Polaków, w podstawy polskości. Żołnierz-Polak, zwłaszcza oficer, zarówno pochodzący z Królestwa jak i miejscowy, nie miał dokąd wracać, nie miał też żadnych motywów do walki z bolszewikami. Dla własnego bezpieczeństwa musiał się organizować – na tej zasadzie tworzyły się we wcześniejszym okresie luźne związki wojskowych, a później korpusy i dywizje.

W okresie rewolucji lutowej powstały 3 korpusy polskie. Pierwszy w Bobrujsku na Białorusi, drugi i trzeci na Ukrainie. W 1918 r. Niemcy po wkroczeniu na te tereny zlikwidowali je. Rozproszeni żołnierze utworzyli na peryferiach Rosji kilka dywizji (nad Wołgą, na Kubaniu, w Murmańsku). Dywizje te różnymi drogami usiłowały dotrzeć do kraju. Jedna idąc do Polski na Zachód, inna idąc na Wschód, dokoła globu ziemskiego. Udało się dojść do kraju w formacji bojowej tylko IV Odesskiej Dywizji.

Polska Organizacja Wojskowa przez cały czas swego istnienia usiłowała wciągać te jednostki do walki z bolszewikami i z Niemcami. Udało się to dzięki

podnieceniu i egzaltacji społeczeństwa polskiego na Ukrainie. Były to krwawe walki i śmierć w nich była okrutna: rozstrzelania, tortury i mordy, śmierć w gorączce tyfusowej na pryczach więziennych. Ujawniły one także bohaterstwo i odwagę kobiet – polskich bojowniczek w szeregach POW.



Polska Organizacja Wojskowa była związkiem, tworzonym przez Piłsudskiego od 1914 r. [przyjmuje się też za rok powstania 1916 – red.]. Celem jej była walka o Polskę Niepodległą w oparciu o Austrię. Przez walkę rozumiano zarówno starcia orężne, jak wywiad i dywersję. Przyjmowano, że główną przeszkodą na drodze do niepodległości jest Rosja i przeciw niej kierowano początkowe działania. Po rozbrojeniu Pierwszej Brygady działalność POW uległa nasileniu. Komendantem głównym był J. Piłsudski; po jego aresztowaniu Bogusław Miedziński, Michał Żymierski, Tadeusz Kasprzycki.

POW rozrastała się stopniowo. Już w 1914 r. pojawili się na Ukrainie jej organizatorzy. Pamiętam, że przy końcu 1914 i w 1915 ćwiczyliśmy w pierwszym zastępie pierwszej drużyny harcerskiej musztrę wojskową z kawaleryjskimi austriackimi karabinkami. Instrukctorem był druż Rogoziński, student Uniwersytetu.

W latach 1914-1920 powstawały komendy naczelne w Warszawie (KN 1), w Krakowie (KN 2); na Ukrainie

(w 1917 r.) KN 3; w Lublinie – KN 4. Później na ziemiach zaboru pruskiego: w Poznaniu (luty 1918) i na Śląsku (luty 1920).

POW była organizacją wojskową, w teorii apolityczną. Hasłem jej była walka o niepodległość Polski. Zabarwieniem politycznym był właśnie wybór drogi, która miała do niepodległości prowadzić. Głównym wrogiem (jak było powiedziane) była Rosja i te jej siły, które po upadku caratu ukształtowały się na jej terenach.



Bogusław Miedziński

W latach 1916 i 1917 działalność POW na terenie Ukrainy ustała. Warunki dla jej wznowienia stworzyła rewolucja rosyjska. W 1917 roku powstała KN 3. Pierwszymi jej bojownikami byli starsi harcerze i studenci kijowscy. Do szeregów jej zgłosiły się licznie młode kobiety i dziewczęta. Pierwszym komendantem KN 3 był Miedziński; [następnie] Bromirski, a po nim Liskula,

Bieniewski, Wilk, Przemysław – o tych słyszałem od siostry. Ostatnim komendantem, któremu Przemysław przekazał dowództwo, był Kmicic. Opuścił [on] Kijów przed aresztami.

KN 3 dzieliła się na Komendy Okręgowe, na czele których stali komendanci. Komendy te mieściły się w większych miastach Ukrainy: w Żytomierzu, Humaniu, Berdyczowie, Winnicy, Odessie; mniejsze komendy w Równem, Brodach.

W tym czasie byłem na froncie, z rodziną i miastem nie miałem kontaktu. Natomiast siostra moja, Janina, oraz bardzo wielu kolegów i znajomych wstąpiło

do POW. Brat nie należał do organizacji, ale często w różnych sprawach kontaktował się z nimi. Do jego przyjaciół należeli: Jerzy Bolewski – piłkarz, Józewski (późniejszy delegat Rządu polskiego na Ukrainę), Dziunia Goszczycka, Anna Jaworska, Halina Dybczyńska, Łazowscy, Zadróżni, Iżykowska, Radziejewski.

Do kijowskiego okręgu należało paruset członków i współdziałających z nimi sympatyków. Rodziny bojowników POW były powiadamiane o działaniach organizacji i były gotowe do współpracy. Bojowniczkami POW KN 3 były w dużej części kobiety i one wykazywały niezwykłą odwagę oraz odporność psychiczną.

Liczby zabitych w partyzantce, rozstrzelanych i zamordowanych żołnierzy POW nie da się ustalić. Celowość tych ofiar budzi wątpliwości, ale bohaterstwo i odwaga były bezprzykładne. Parę osób, i to mężczyzn, załamało się w więzieniach w czasie „przesłuchań”, ale to wystarczyło do dekonspiracji i likwidacji POW KN 3. Stało się to w marcu-kwietniu 1920 r.

Oddając należne odwadze i bohaterstwu młodych bojowniczek i bojowników POW, należy zastanowić się nad celowością tych walk i nad ich skutkami. Powstania rodziły te same problemy i takie samo ich rozwiązanie. Problemy decyzji i celowości stawiane są w próżni; powstania i walka były koniecznością dziejową. A ich skutki? Dla rozwoju biologicznego i ekonomicznego – katastrofalne. Inna sprawa to tradycje i osobowość narodu; jego pozycja i rola wśród narodów świata.

Ofiarom beznadziejnych powstań, ofiarom POW, ofiarom zrywów rewolucji zawdzięcza naród swe państwo obecne i swą przyszłość.



Początkiem rozgromu KN 3 w Kijowie było aresztowanie w końcu stycznia 1920 r. bojownika POW Wacława Porzezińskiego. Areszt był spowodowany donosem jego nieletniego brata. Aresztowany następnie De Morge wskazał niektóre znane mu zakonspirowane lokale. Skutkiem tego były masowe areszty w dniach 7 marca i następnym.

W dniu 8 marca przyjechał z prowincji mój brat Wojciech. Na ulicy w drodze z dworca przypadkowo spotkał siostrę Janinę w towarzystwie innej powiawczki – o ile sobie przypominam Heleny Sikorowskiej. Obie były przerażone. Błakały się po mieście nie mając odwagi udać się do mieszkań. Brat miał przy sobie blankiety z pieczęciami spółdzielni Kostorp *in blanco*, do użycia w takich sytuacjach. Sprawa była poważna. Brat prowadził obie dziewczyny na dworzec. Trzeba było opuścić miasto bez zwłoki. POW KN 3 była dla bolszewików jedyną groźną zakonspirowaną organizacją.

Po drodze Sikorowska przypomniała sobie, że w jednym z lokali organizacji są pieczęcie i papiery. Głucha na wszystkie argumenty, nie reagując na pogróżki brata, że użyje przemocy, odeszła. Na szczęście mojej rodziny, wystawione zaświadczenie na blankiecie spółdzielni pozostało u brata. Sikorowska miała przyjść na dworzec. Do wieczora nie pojawiła się. W końcu 1920 r. stało się wiadome, że została wywieziona razem z komendą placu statkiem i w czerwcu tego roku z całą grupą rozstrzelana. Na czele tej grupy stał Jerzy Bolewski (starszy z dwu braci). Jako piłkarz grał nie u nas w PTG (Polskie Towarzystwo Gimnastyczne), ale w rosyjskiej drużynie Politechników, co nas oburzało. Razem z nim rozstrzelano w Charkowie w czerwcu dwadzieścia parę osób. Z komendy placu prócz mojej siostry uratowała się jedynie

Ptaszkowska. Podobnie zlikwidowano komendy okręgowe w Winnicy, Żytomierzu, Humaniu i inne.

W międzyczasie brat wywabił przy pomocy dozorcę matkę z mieszkania i przyprowadził ją na dworzec kijowski. Późnym wieczorem pociąg składający się, jak zwykle, z wagonów towarowych przepełnionych podróżnymi – wyruszył. W ostatnich minutach do kilku wagonów wcisnęli się funkcjonariusze Cze-ka. Między innymi do wagonu, gdzie w tłoku stali matka, siostra i brat. Przybyli – przy zapalonych świecach – rozpoczęli sprawdzanie dokumentów stłoczonych pasażerów. Wojtek dołączył się do nich na ochotnika. Przy sprawdzaniu okazało się, że dokument Janki został podpisany przez pieczęć, co wzbudziło wątpliwości sprawdzających. Wbrew argumentom Wojtka, Janka została zatrzymana do czasu sprawdzenia w fastowskiej Cze-ka. Jasne było, że Janka zostanie rozpoznana, gdyż akcja likwidacji KN 3 ogarniała całą Ukrainę. A więc w perspektywie pewny rozstrzał.

Przed Fastowem pociąg stanął przed semaforem. Czekiści zeskoczyli z wagonu, aby dowiedzieć się, jak długo potrwa postój. I teraz nadeszła ta jedyna szansa ratunku. Wojtek zgasił obie świece i przy pomocy współpodróżnych zaczął przeciskać się do przeciwległych drzwi towarowego wagonu. Drzwi zamknięte na zamek to śmierć Janki, a może i Mamy. Nie były jednak zamknięte, tylko zasunięte. Wojtek je rozsunął cicho i przez szparę wypchnął Mamę, która wypadła jak tłumok, ale stanęła na nogi. Po Matec wyskoczyła Janka, w końcu Wojtek. Ktoś w wagonie zasunął drzwi.

Z tej strony torów było ciemno. Trzeba było kilkanaście metrów przepelznąć pod wagonami, a potem pod drugim pociągiem zejść z szyn i dostać się na drogę prowadzącą do miasta Fastowa. Zaraz

potem pociąg ruszył i zatrzymał się na stacji. Jak widać ci czekicci nie byli do brze przeszkoleni; popełnili dużo błędów. Dzięki nim uratowała się siostra i prawdopodobnie kilka innych osób.

W Fastowie przenocowali u Zosi Szornel, siostry Wandy Pasynkiewicz. Noc minęła spokojnie. Matka była bardzo potłuczona, ale w dobrej formie. Miała wtedy 56 lat.

Na drugi dzień przybyli wszyscy szczęśliwie końmi do Kożanki, do wujaszka Witolda Niewiarowicza, lekarza w Cukrowni Kozanieckiej, gdzie gościłem. Matka i Wojtek zostali tam, a ja i Janka ruszyliśmy pieszo do Chodorkowa. Ku memu zdumieniu Janka przemaszerowała 50 km w ciągu 10 godzin. Mnie taki marsz nie sprawiał żadnej trudności.

W parę tygodni później Wojtek ponownie przybył do Kijowa i – jakby mu rozum odebrało – udał się do naszego mieszkania, gdzie przebywała tylko nasza służąca – przyjaciółka – Sania. Czekali tam na niego, został aresztowany, pomimo zapewnień o swej niewinności i sympatii do władzy radzieckiej. Brat mój był nie tylko sentymentalnym poetą, lecz także mistrzem słowa. Wzbudził jednak pewne wątpliwości w Cze-ka i umieścili go – ku wielkiemu oburzeniu uwięzionych – w celi kobiecej; razem z Sanią, ażeby namawiał ją do ujawnienia, gdzie Janka (jak ją nazywali czekicci) się ukrywa.

Później wozili brata po wskazanych przez niego rosyjskich adresach, gdzie dopytywał się o Jankę. Podawał adresy osób, które znając Jankę z imienia niczego więcej o niej nie mogły wiedzieć. Wojtek natomiast był w śmiertelnym strachu, czy Sonia lub kto inny nie poda rzeczywistego miejsca pobytu Janki w Chodorkowie. Taki strach to prawdziwa z mora. Nie doceniał inteligencji u pozostałych. Janka, zaraz po aresztowaniu



Pomnik Peowiaka pod warszawską Zachętą

Wojtka, została ulokowana w Gnildcu u chłopów, sąsiadów. Odszukanie jej tam było niemożliwe.

Ale czeakiści nabrali przekonania, że Wojtek gra komedię. I byłoby z nim źle gdyby nie to, że jeden ze śledczych był jego kolegą, i gdyby nie przyjazd Dzierżyńskiego. Przybył on w sprawie POW do Kijowa. Poleciał zwolnić tych wszystkich Polaków, przeciw którym nie było niewątpliwych dowodów. Na tej liście Machnicki (kolega brata) ryzykując umieścił Wojtka. Razem z Wojtkiem zwolniono Sanię; wcześniej zaś prawie wszystkich aresztowanych rodziców. A więc doktora Bolewskiego, matkę Dziuni – Teresę Goszczycką, Aleksandrę Iżykiewicz i innych. Wojtek wrócił, jak się teraz mówi, z dalekiej podróży. Wymizerowany, ogolony, ale rad z powrotu do życia.

Już po przedostaniu się Janki i moim do kraju aresztowano w Chodorkowie,

w aptecce ciotki Boguckiej, moją matkę. Trzymano ją kilka tygodni w Czecka w Skwirze (powiatowe miasto na kijowszczyźnie). Nazywano ją „babuszką” i kazano jej myć podłogi. Traktowano ją zresztą dobrodusznie. W pewnej chwili zobaczyła ją przy tym zajęciu Paszka, jedna z naszych służących, która mając 17 lat zaszła u Matki w ciążę i ku swemu zdumieniu znalazła troskliwą opiekę dla swego dziecka i siebie. Była wówczas jakimś ważnym komisarzem, wyrugała czekistów za głupotę i zwolniła Matkę.

Ze swoją przyjaciółką, matką rozstrzelanej Dziuni, Teresą Goszczycką, moja Matka spotykała się w Warszawie w latach dwudziestych bardzo często. Mieszkały blisko siebie: jedna na Nowogrodzkiej, druga na Żurawiej. Teresa Goszczycka aż do śmierci wierzyła, że jej córka się uratowała; i żyła nadzieją, że ją niedługo ujrzy. □

Nazwisko JAROSLAVA HAŠKA (1883 – 1923) jednoznacznie kojarzy się z postacią Józefa Szwejka żołnierza-filozofa, wędrującego poprzez drogi i bezdroża Wielkiej Wojny. Dobroduszny uśmiech, nieodłączna fajka i uczynki obnażające ogrom głupoty wojny, polityki i tych wszystkich nadętych osobników stojących na straży urzędowej głupoty. Jednym ze sztandarowych powiedzeń Szwejka było: „Ogromnie lubię gdy ludzie bałwanieją do kwadratu”.

Hašek stworzył jeszcze inne teksty ukazujące śmieszność polityki jako zjawiska. Warto sięgnąć do tomu opowiadań zatytułowanego „HISTORIA PARTII UMIARKOWANEGO POSTĘPU (w GRANICACH PRAWA)”.

Aby dobrze zrozumieć ideę tych opowiadań, należy wiedzieć, że wchodzi one w skład swoistej legendy autobiograficznej Autora. Partia o tej zadziwiającej nazwie została oczywiście założona przez samego Haška – ba! – w uzupełniających wyborach w roku 1911 wystawiła kandydaturę swego założyciela.

Tekst jest daleki od fikcji literackiej. Znajdujemy w nim nazwiska przyjaciół Haška, zapisy wydarzeń rzeczywiście zaistniałych.

Zapoznajmy się z tekstem jednego z opowiadań. Niech nas nie zmyli dystans czasowy od opisywanych wydarzeń. To, co przeczytamy, wydaje się nam jakoś dziwnie znajome...

JAROSLAV HAŠEK

PARTIA ROŚNIE, ALE ZBIERA CIĘGI

Każdej nowej partii politycznej potrzebny jest entuzjazm. Ale ten entuzjazm posiadają także inne partie polityczne, nie tylko nowa partia, jeśli więc nowo założona partia spotka się ze starszą w walce politycznej, wynika stąd niechybnie, a mówiąc ściślej: zwyczajowo, że ci, którzy pozostają w mniejszości głoszą na cały świat, że po ich stronie stoi zwycięstwo moralne. Moralnego zwycięstwa domaga się każdy, komu przeciwnik przetrąci nogę. Tołstoj oświadczył kiedyś, że zwycięstwo moralne to coś niezwykle jasnego! Masaryk pochwalił zwycięstwo moralne, ale ani Tołstoj, ani Masaryk nigdy nie dostali lania. Kto więc pragnie propagować zasady partii, która dopiero się rodzi, musi zwyczajnie

zadowolnić się wyłącznie owym moralnym zwycięstwem i wołać: „My zwyciężyliśmy”. A równocześnie kazać sobie nacierać plecy opodeldokiem, ponieważ opodeldok to znakomity środek przeciwko stłuczeniom, guzom i sińcom. Z opodeldokiem musi się liczyć każda nowa partia. Szczególnie zaś każdy apostoł nowej myśli politycznej. Kto chce drugiej partii politycznej zaszcześcić własne przekonania polityczne, powinien mieć zawsze przy sobie flaszkę tej mikstury, jeśli nie ma w pobliżu stacji pogotowia. Każdy taki mówca polityczny niech ma w pamięci, że opuchnięcia leczy się kwaśną wodą, a kiedy po spoliczkowaniu napuchnie twarz, opuchnięcie znika, jeśli je nacieramy mieszaną chloroformu

i oleju z oliwek z małą domieszką spirytusu kamforowego. To wszystko znakomicie neutralizuje skutki nowych hasel politycznych i krasomówczych zwrotów.

Uderzeń bykowcem nie należy pocierać, dobrze jest natomiast przykładać na nie zimne okłady. Jeśli zaś chodzi o rozbite głowy, naprawią wam je w każdej klinice chirurgicznej, ponieważ wraz ze wzrostem liczby partii politycznych rozwinęła się także chirurgia. Kiedy wam ktoś, jako mówcy, plunie w oczy, nie obcierajcie się ręką, rękawem czy chusteczką, ponieważ moglibyście dostać zapalenia rogówki. W tym wypadku pomocna jest letnia woda. Jeśli przeciwnik polityczny wybije wam ząb, nie rozpaczajcie. Świętej Katarzynie przeciwnicy polityczni wytlukli wszystkie zęby, ona zaś została świętą. Ponieważ jednak obecnie Kościół takimi świętymi jak wy się nie interesuje, nie pozostaje wam nic innego, jak iść spokojnie do dentysty, żeby wam wprawił nowy ząb. Jeśli urwą wam wasi słuchacze w czasie zgromadzenia ucho, zabierzcie je ze sobą i nie starając się dokończyć przemówienia, lećcie szybko do najbliższego lekarza, żeby wam je z powrotem przyszył. Kiedy urwą wam głowę, zostawcie ją w spokoju, ponieważ do polityki nie jest potrzebna.

Oto wszystkie zasady, z pewnością bardzo rozsądne, z którymi stawiliśmy się, my, komitet Partii Umiarkowanego Postępu (w Granicach Prawa), na zebraniu narodowych socjalistów w sali tanecznej Banzata w Nuslach. Szliśmy tam wesoło jak ludzie świadomi tego, że kto siedzi za piecem, zostanie nieznanym dla świata. A my chcieliśmy rosnąć, jak każda inna partia. Tak pragnęli wzrostu staroczesi, podczas gdy rośli młodoczesi. Tak rośli narodowi socjaliści właśnie wtedy, kiedy młodoczesi pragnęli wzrastać.

A socjaldemokraci wyrosli, kiedy narodowi socjaliści myśleli, że tylko oni rosną.

My jednak mieliśmy o sobie najlepsze wyobrażenie ze wszystkich partii, ponieważ utrzymywaliśmy, że wzrośniemy, ponieważ najlepszym zwycięstwem w polityce jest to, o którym mówi się w czasie przyszyłem.

Szliśmy więc tam z mocną wiarą, że jeśli narodowi socjaliści mają program, my go możemy mieć także. Jeśli zaś mają w swoim programie wolność słowa, my także chcemy tej wolności słowa, co oznacza, że oni będą słuchać, a my będziemy mówić. I właśnie temu pamiętnemu wieczorowi zawdzięczamy to, że mogliśmy do swojego programu włączyć nowy punkt, który tam podpatrzyliśmy: „Precz z wolnością słowa!”. W rzeczywistości było tak, że przyszlismy tam i że zabrałem głos zaraz po głównym mówcy, któremu bito brawo po każdym słowie, po każdym mrugnięciu oka i machnięciu ręki, któremu zgotowano aplauz, kiedy lazył na trybunę i kiedy z niej zlazył. I rzecz dziwna. Kiedy ja wyszedłem na trybunę, biło brawo tylko sześć osób, a mianowicie członkowie komitetu naszej partii, a pozostałych 900 mężczyzn i młodzieńców rzucało na mnie groźne spojrzenie, jakby chciało powiedzieć: „Z tej sali zdrów i cały nie wyleziesz!”. Taka rzecz boli człowieka. Musi zaboląć każdego apostoła. Powiedziałem im to od razu w pierwszym zdaniu. Ponieważ człowiek powinien być konsekwentnie szczery. Mówiłem:

- Szanowna publiczności! Dziwię się, że nie bijecie mi brawa. Czyżbym był gorszy od mojego przedmówcy? Jemu biliście brawo, zanim otworzył usta...

„Ty hultaju!” odezwał się głos z tyłu, a równocześnie jakby coś wszystkich napadło, garnęli się ku trybunie z różnymi

okrzykami, które mi zwiastowały moralne zwycięstwo:

„Złaź, gówniarzu!” „Zjeżdżaj ty pokrako!” „Wacek, trzepnij go!” „Ty socjale!” „Co się tak gapisz!” a jakiś wysoki mężczyzna chwycił mnie mocną łapą za kołnierz i niosąc mnie wśród tego rozgniewanego tłumu krzyczał: „Przylaźleś rozbić zebranie, my cię nauczymy!”.

Od stołu przydzielonego odezwał się głos: „Nie bijcie go, bracia!”, zagłuszany wszakże protestem: „Ależ dołóżcie mu, bracia!”

Dla tych ludzi mam szacunek do dziś. Dołożyli mi, dołożyli całemu komitetowi Partii Umiarkowanego Postępu (w Granicach Prawa), a wyrzuciwszy nas na ulicę, powrócili do przerwanej debaty o problemach kultury. Taka jest bolesna prawda... □



Pomnik Haška

LITERATURA

Jędrzeja Szlachetkę poznaliśmy już jako młodego filozofa szczęśliwie debiutującego na naszych łamach. Jego utwory wymykają się spod banalnej kwalifikacji czy próby literackiego „zaszufladkowania”. Możemy w nich znaleźć próby filozoficznych rozważań, a także dociekania z pogranicza różnych, tajemniczych światów, często zaskakujących człowieka. Autor niczego nie przesądza, nie próbuje udawać autorytetu. Po prostu otwiera przed czytelnikiem nowe możliwości interpretacji otaczającego świata.

Teksty Jędrzeja Szlachetki pozwalają nie tylko na grę fantazji. Uczą także myśleć.

JĘDRZEJ SZLACHETKA

RAJ

Gdzieś w nocy na pustyni w Egipcie, w skromnej chacie umierała pięcioletnia dziewczynka. Była jedynym dzieckiem, jakie pozostało mężczyźnie, który teraz siedział w rogu pomieszczenia i wsłuchiwał się w coraz płytszy oddech

córki. Dziewczynka chorowała od kilku dni, ale żaden z lekarzy nie mógł jej pomóc. Wreszcie powiedzieli ojcu wprost, że dziecko niedługo umrze. Nie kłamali.

Leżała wychudzona w łóżku, a cienie rzucane przez płomień świecy już teraz

nadawały jej wygląd trupa. Ojciec, który poza nią nie miał już nikogo, bo nawet żonę stracił kilka lat temu, modlił się, żeby to był już koniec. Chciał, wbrew wszelkim przekonaniom moralnym, żeby dziecko już umarło i żeby cierpienie ich obojga w końcu dobiegło końca. Kiedy jakaś miłosierna siła spełniła w końcu jego prośbę i ledwie słyszalny oddech ucichł zupełnie, mężczyzna zapłakał. Potem siedział do rana w tym samym miejscu, a chłodne powietrze suszyło jego łzy. W jego głowie kłębiły się myśli, które tylko on znał.

Nikt na świecie nie wiedział o tym, że podjął bardzo trudną decyzję.

Rano nie zajął się przygotowaniem pogrzebu, tylko cały dzień czekał, aż znów nastanie wieczór. Kiedy zrobiło się chłodno – wyniósł dziecko przed chatę, ułożył na prowizorycznych noszach i ciągnąc je po ziemi ruszył w stronę majaczących w oddali gór.

Po wędrowce, która trwała kilka nocnych godzin, doszedł do skalnej ściany. Niedaleko miejsca, do którego dotarł, otwierała się jaskinia. Mężczyzna wniósł do niej dziecko i położył na zimnych kamieniach. Potem wyszedł i przy wejściu rozpałił ognisko. Usiadł przy nim, tyłem do ciemnej pieczary. Nie wolno mu było patrzeć na to, co się tam będzie działo. Czekał.

Nie miał do dyspozycji wiele drewna, więc ognisko było małe. Dawało niewiele ciepła. Od pustyni wiał wiatr. Jednak zmęczenie po dwóch nieprzespanych nocach dawało o sobie znać i mężczyzna powoli zapadł w kamienny sen.

Śniło mu się, że idzie przez pustynię. Wszystko wokół niego – skały, niebo, powietrze, a nawet jego ręce – było czarne. W oddali zobaczył jakąś postać – stała do niego tyłem. Mężczyzna zamrugał oczami. Nie można było ocenić, jakiego wzrostu jest człowiek przed nim, jakby perspektywa przestała istnieć. Mógł być

wysoki, ale bardzo daleko, albo blisko, ale bardzo mały.

Postać trwała w zamyśleniu, lub zapatrzaniu w jakiś punkt i nie zwracała na mężczyznę uwagi. Nagle poczuł paniczny strach na myśl, że mogłaby go zobaczyć. Coś mówiło mu, że byłaby to najgorsza rzecz, jaka mogłaby się zdarzyć przez całe jego życie. I wtedy, ku jego przerażeniu, postać zaczęła się powoli obracać w jego stronę.

Obudził się z krzykiem przerażenia. Ognisko zgasło już całkowicie, ale noc była zupełnie ciemna. Obrócił się gwałtownie w stronę jaskini. U jej wylotu stała jego córka.

Marek Zalewski był doktorem religioznawstwa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Specjalizował się w religiach bliskiego wschodu. Jako młody człowiek dużo podróżował po świecie, nie tylko po Azji Wschodniej, badając zagadnienie przeżyć mistycznych i transcendentnych w różnych wierzeniach i religiach.

Teraz siedział przy biurku, przygotowując się do wykładu dla studentów, kiedy zadzwonił telefon. To jego przyjaciel, profesor Paweł Wiecheć z Uniwersytetu Warszawskiego, archeolog. Paweł od lat poszukiwał w Egipcie pewnego grobowca. I niedawno go znalazł. Prosił Marka, żeby przyjechał do niego jak najszybciej.

Grobowiec stanowił niezwykle zagadkę. W czasach starożytnego Egiptu grobowców pilnowali strażnicy. Ich imiona często były wypisywane na murach lub skałach w pobliżu sanktuarium, którego pilnowali. Otóż profesor Wiecheć wraz ze studentami odkrył kilka lat temu kilkanaście takich imion wypisanych na... niedostępnej skalnej półce na pustyni w Syrii. Oznaczało to, że niedawno powinien znajdować się grobowiec.

Ale gdzie? Organizowano kolejne wyprawy, które niczego nie przynosiły. Nic w tym dziwnego, bo góry to bardzo niegościnne miejsce, a takie grobowce często dobrze ukrywano. Dlatego też Paweł się nie poddawał. I najwyraźniej wreszcie jego wysiłki przyniosły skutek.

Tylko do czego potrzebował religioznawcy? Nie powiedział tego Markowi, ale ten domyślał się, że chodzi o ustalenie pewnych szczegółów, dotyczących religii lub kultu, z którym było związane znalezisko.

Wykład musiał poczekać. Doktor spakował się i załatwiwszy wszelkie formalności udał się na miejsce.

Wejście do grobowca było ukryte wśród skał, na skalnej półce, podobnej do tej, na której odkryto napisy. Podobno wskazał je któryś z miejscowych pasterzy.

Paweł czekał na Marka u stóp skały. Przywitani się, Wiecheć przedstawił swoich asystentów, a potem poprowadził po prowizorycznych drewnianych schodach do wejścia.

Na początku jaskinia nie różniła się od każdej innej. Jednak gdy przeszli dalej, widać było ślady obróbki. Prawdopodobnie przejście powiększono, by móc łatwiej dostawać się do środka. Po kilkunastu metrach jaskinia zamieniała się w kuty w skale korytarz, który zaginał się w dół. Wszystko było rozświetlone przez ledowe świetlówki poumieszczone na ścianach. Doszli do łukowatego przejścia, które ewidentnie było kiedyś zamurowane, a teraz otwarte przez robotników Wiecheć. Za nim otwierała się komnata. Miała w podstawie około pięć na pięć metrów, i trzy i pół metra wysokości. Jej ściany pokrywały malunki ludzi bijących pokłon jakimś wielkim postaciom – prawdopodobnie bogom. Ściany były okopcone, ewidentnie palono tu ogień. Na środku komnaty stało metrowej wysokości podwyższenie o podstawie dwa

na dwa metry, na którym prawdopodobnie palono ogień. W komnacie panował straszny zaduch, a powietrze było nieruchome. Zdawało się, że czas w tym miejscu się zatrzymuje. Jednocześnie Marka opanowało dziwne uczucie, jakie towarzyszy człowiekowi w teatrze, gdy gasną światła, że on sam jakby przestaje się liczyć, znika w ciemnościach i jest tylko obserwatorem tego, co się dzieje.

– Co o tym sądzisz? – zapytał Paweł wskazując na malowidła na ścianach. Wyglądały jakby były skończone dosłownie przed chwilą.

Marek chciał już przedstawić swoje wstępne analizy dotyczące tego, jaki kult i jakie bóstwa mogły tu być przedstawione, ale się powstrzymał.

– Chciałbym najpierw zobaczyć resztę.

Paweł bez słowa ruszył przez komnatę do kolejnego przejścia. Przeszedł pierwszy, stanął z boku. Marek wszedł za nim, i gdy jego wzrok przyzwyczaił się do półmroku panującego w pomieszczeniu, zamarł.

Sala była większa, miała dziesięć na piętnaście metrów u podstawy i jakieś sześć wysokości. Od dwóch trzecich odległości, od wejścia była podwyższona. Na podwyższeniu, wzdłuż przeciwległej ściany, a także dwóch bocznych stało coś, co przypominało kamienny stół.

A przy nim siedzieli ludzie.

Było to kilkanaście osób w różnym wieku, kobiety i mężczyźni, zastygli w pozycjach, jakby zasnęli lub zapadli w letarg w trakcie uczty. Wszyscy byli nadzy. W świetle reflektorów scena przywoływała nieodparte skojarzenie z Ostatnią Wieczerzą Leonarda da Vinci. Coś w tym wszystkim dziwiło Marka jeszcze bardziej.

– Można podejść? – zapytał

Ktoś za jego plecami odchrząknął. Dopiero teraz Marek zauważył, że



w pomieszczeniu znajduje się jeszcze dwóch ludzi.

– Nie przedstawiłem. To doktor Marek Zalewski, religioznawca, o którym mówiłem. A to – wskazał na mężczyznę – Jan Wittenberg, lekarz, którego poprosiłem o opinię i badania.

– Tak, dziękuję – powiedział lekarz. – Co do pańskiego pytania – zwrócił się do Zalewskiego – to nie stwierdziłem skażenia mikrobiologicznego. Ale zalecałbym użycie maseczki filtracyjnej.

Podeszli bliżej i teraz mogli przyjrzeć się postaciom dokładniej.

– Wyglądają, jakby żyli... – powiedział Marek.

– Tak. Po wywiezieniu ich stąd będę mógł przeprowadzić dokładne badania, ale po tym, co mogę stwierdzić, nie ma żadnych albo prawie żadnych oznak rozkładu.

– Jak to możliwe?

– Cóż, nie wiem dokładnie, ale medycyna zna takie przypadki. W jednym z grobowców – nie pamiętam już gdzie – do tej pory leży ciało małej dziewczynki, które jest prawie nienaruszone od kilkuset lat. Niektórzy nawet twierdzą, że dziecko żyje i wodzi za nimi oczami. Ale to oczywiście bzdura. Są też inne przykłady, ale wszystko to jest związane z warunkami, w jakich zwłoki znalazły się po śmierci. To bardzo ciekawe, ale nie wykluczone.

– Dobrze. Ale drugie pytanie jest takie: co oni tu robią? Żadna znana mi kultura nie chowała zmarłych, nawet bardzo dostojnych, w taki sposób. To wygląda, jakby ich tu zamknięto w trakcie jakiejś uczty. Czy wiadomo chociaż, kim są ci ludzie?

– No cóż – odezwał się Wiecheć – na pewno byli wysoko postawieni. Ale nie natrafiłem na żadne poszlaki, wskazujące na ich tożsamość. Nawet nie mają żadnych szat, które mogłyby pomóc ocenić jakieś związki kulturowe. Nic, nie ma żadnych innych przedmiotów w tym, ani tamtym pomieszczeniu. Możemy jedynie spróbować zrozumieć malowidła na ścianach w poprzedniej sali, oraz zbadać biologicznie ciała. Ale zgadzam się z Markiem – nie to, dlaczego ciała się zachowały w taki, a nie inny sposób jest najdziwniejsze, ale to, co one tu w ogóle robią. Nie wiem, czy kiedykolwiek rozwiążemy zagadkę.

Wyszli na zewnątrz. Po zaduchu grobowca gorące powietrze pustyni wydawało się rześkie.

– Nocujecie tutaj? – zapytał Marek.

– Tak, śpimy w namiotach, ale tobie zarezerwowałem miejsce w hotelu. Co mi możesz o tym powiedzieć?

– Cóż, właściwie nic. Przynajmniej na razie. Malowidła są bardzo dziwne. Z jednej strony mają charakter religijny,

prawdopodobnie przedstawiają istoty boskie lub nadprzyrodzone. Ale z drugiej – nie są symboliczne. Bardziej przypominają malowidła z Lascaux niż hieroglify. Dlatego chciałbym jeszcze tu trochę zostać i to oglądnąć.

– Jeżeli tak chcesz, to się zgadzam. Ale moim zdaniem przydałby ci się odpoczynek. Ja sam dawno się nie wyspałem. Miewam w tym miejscu koszmary. Ale chyba wszyscy je tu mają – uśmiechnął się.

Cały następny dzień Marek spędził w pierwszej komnacie, robiąc szkice i notatki na temat malunków. Ponieważ na razie nie miał lepszego pomysłu, starał się po prostu opisać to, co widzi. Ustalił następujące rzeczy: zbiór malunków opowiadał prawdopodobnie jakąś historię. Świadczył o tym fakt, że pewne wizerunki oraz motywy się na nim powtarzały. Przyjął też, że historia jest opowiadana od góry do dołu i od prawej do lewej. Na pierwszym obrazku jakieś postacie wychodziły z dziury – mogło to być łono matki. Marek założył, że przedstawia ich przyjście na świat. Na drugim prawdopodobnie te same postacie stały kręgiem wokół czegoś, co przypominało słońce. Na trzecim stały w ten sam sposób wokół człowieka, ale przedstawionego jako dużo mniejszy. Na czwartym duże postacie były otoczone ogniem, a na piątym stały nad małymi postaciami, które chyba były martwe – bo niektóre nie miały nóg, inne głów i rąk. Na szóstym przedstawione było jakieś zamieszanie – możliwe, że wojna. Postacie były na nim przemieszane i trudno było stwierdzić, które z nich są małe, a które duże. Na siódmym duże postacie leżały, martwe lub we śnie.

Było to jakieś światelko w tunelu. Możliwe, że duże postacie to ludzie pochowani w grobowcu. W takim razie mogli być uznawani za bogów. Tylko co oznaczała ta walka?

Wieczorem Marek przedstawił swoje ustalenia Pawłowi. Ten pokiwał głową.

– Ja z kolei popytałem tutejszych robotników, którzy dla nas pracują. Podobno wśród miejscowej ludności krąży legenda o złych bogach, z którymi ludzie walczyli i których pozabijali, lub uwięzili. Może to być symboliczne przedstawienie obalenia jakiejś władzy. Ale nawet wtedy jest bardzo ciekawe. Jeżeli się zgodzisz, to chcę żebyś ze mną jutro pojechał do wioski nieopodal. Jest tam człowiek, którego rodzina podobno od pokoleń przekazywała sobie tę legendę, i który może nam ją dokładnie opowiedzieć. Poza tym – tu się lekko uśmiechnął, co nie było w jego zwyczaju – mówią też, że za sprawą bogów jego ciężko chora córka wróciła do życia. Co ty na to?

– Dobrze, myślę, że warto sprawdzić, co nam powie. To daleko stąd?

– Nie, ale chcę wyjechać wcześniej, żeby wrócić na popołudnie. Siódma rano?

– Siódma rano.

Podróż zaczęli trochę później, bo w ostatniej chwili dołączył do nich Jan Wittenberg. Lekarz był szczególnie zainteresowany ozdrowieniem dziecka; chociaż Marek podejrzewał, że tamten chciał być po prostu w centrum wydarzeń. Wzięli też ze sobą tłumacza. Wszyscy trzej posługiwali się jako tako arabskim, ale nie znali wszystkich dialektów, woleli więc się zabezpieczyć.

Po półtoragodzinnej jeździe samochodem dotarli do wioski. Była położona bardzo na uboczu, a przez to wiele zdobyczy cywilizacyjnych jeszcze do niej nie dotarło.

Wypytywali o mężczyznę, którego dziecko cudownie ozdrowiało. Ludzie znali go dobrze, choć dało się wyczuć, że większość darzyła go niechęcią. Podobno dziwna choroba już wcześniej zabrała troje jego dzieci, a żona zmarła przy porodzie ostatniego – czyli pięcioletniej

córeczki, która jako jedyna żyła do tej pory. Gdy Paweł próbował dowiedzieć się coś na temat legendy, ludzie dziwili się – o niczym takim nie słyszeli. Postanowił zatem odnaleźć chatę mężczyzny.

Stała na skraju wioski. Nikogo nie było w jej pobliżu. Obeszli ją dookoła, pomimo zaniepokojenia tłumacza, który sugerował, że może to być poczytane za wtargnięcie.

Gdy zrobiwszy kółko wrócili do wejścia, dostrzegli mężczyznę, który wracał z dwoma wiadrami wody. Nie wyglądał na zadowolonego z ich przybycia.

– Powiedz mu – polecił Paweł tłumaczowi – że jesteśmy archeologami i mamy do niego kilka pytań. Ja nazywam się Paweł Wiecheć, a to Marek Zalewski i Jan Wittenberg.

Tłumacz spełnił polecenie. Mężczyzna odłożył wiadra i odpowiedział coś, gestykulując.

– Mówi, że nazywa się Munsir, i że nas ugości, ale nie wie niczego, co by nas mogło interesować.

– No to miejmy nadzieję, że kłamie, bo inaczej cały dzień zmarnowany – uśmiechnął się Paweł.

W chacie panował półmrok, do którego oczy chwilę się przyzwyczajały. Wszyscy usiedli, a Munsir podał im jakiś gorący napój. Paweł powiedział coś do tłumacza, a tamten kiwnął głową. Wyjął z kieszeni pięknie zdobiony nóż i podszedł do gospodarza ofiarować go jako prezent. Było to sprytne, bo załatwił w ten sposób dwie rzeczy – po pierwsze spełnił obowiązek gościa, a po drugie zyskał jego przychylność. Arabowi prezent się wyraźnie podobał, ale nie chciał tego okazać wprost.

Rozmowa była długa. Paweł nie chciał przejść zbyt szybko do rzeczy, żeby nie urazić gospodarza. Najpierw chwalił gościnnie, potem zaczął opowiadać bardzo ogólnie o swym rodzinnym kraju. Kiedy

jednak przeszedł do tego, co tu robi i co znalazł, twarz Munsira spochmurniała. Żywo gestykulując powiedział coś stanowczym tonem, po czym zamilkł.

– Mówi – odezwał się tłumacz – że bardzo źle, że szukamy grobowca, jeszcze gorzej, że do niego weszliśmy i radzi nam, żebyśmy stamtąd jak najszybciej odeszli.

– Zapytaj go, dlaczego?

Po krótkiej wymianie zdań tłumacz zwrócił się do Pawła:

– Mówi, że nie wolno budzić umarłych.

– Co to znaczy?

Kolejna wymiana zdań.

– Mówi, że nie może powiedzieć, że to tajemnica, i że stawiamy go w trudnej sytuacji. Prosi, żebyśmy odeszli.

– Jest podobno jakaś legenda. Chcę ją tylko usłyszeć.

– Nie wolno mu mówić.

– Nie wyjdę stąd, dopóki jej nie usłyszę – powiedział Paweł po arabsku zwracając się wprost do Munsira. Tamten odpowiedział coś gniewnie.

– Powiedział, że się zgadza. Ale przeklina nas też mówiąc, że doprowadzi nas to do zguby.

– Dobrze – Paweł uśmiechnął się z satysfakcją. – Marek, czy możesz notować?

– Pewnie.

Munsir opowiedział dziwną legendę, która musiała być starsza, niż religia muzułmańska. Według niej, na początku czasu z nicości wyłonił się jeden bóg. Był jednak zły i szalony. W swym szaleństwie zrodził z siebie innych bogów. Byli oni jednak jednocześnie rozdzieleni, ale też złączeni w owym pierwotnym praojcu. Sami też byli pełni gniewu i nienawiści. Chcieli się nawzajem niszczyć, ale ponieważ bóg nie może zabić boga, stworzyli świat, i na niego skierowali swój gniew. Na świecie umieścili istoty rozumne – ludzi – ale tylko po to, żeby mogli je

dreńczyć. Ludzie najpierw czcili bogów, ale wkrótce zrozumieli, że przynosi im to tylko cierpienie i zagładę, i że aby móc żyć, muszą się od bogów uwolnić. Ale jakże można się uwolnić od stwórcy, który swoją mocą obejmuje cały świat. Jak się przed nim schować? Obmyślili więc plan. Zaprośili bogów na wspaniałą ucztę. Przynieśli najlepsze mięso i najśodsze napoje. Gdy bogowie się najedli jeden z ludzi zagrał im melodię, którą sam ułożył. Była to najpiękniejsza muzyka, jaką słyszał świat, piękniejsza, niż cokolwiek, co sami bogowie mogliby stworzyć. Była tak piękna, że najedzeni, jeden po drugim zapadli w sen. Ludzie zamknęli komnatę, w której odbywała się uczta, postawili przed nią strażę, żeby nikt nie mógł zakłócić wiecznego snu i sami rozeszli się po świecie, budując swe szczęście. Jedni mówili, że to dobrze, inni, że w ludziach i tak tkwi cząstka boskiego szaleństwa, która i tak doprowadzi ich kiedyś do zagłady. Ale świat się jeszcze nie skończył, więc nie wiadomo, kto ma rację, a bogowie śpią do tej chwili, nie niepokojeni przez nikogo.

Po wysłuchaniu legendy mężczyźni siedzieli przez chwilę w milczeniu. Paweł spojrział na Marka i obaj pewnie pomyśleli to samo: że poznają historię coraz lepiej, ale im więcej kawałków układanki mają, tym mniej wiedzą. Historia opowiedziana przez Munsira zgadzała się mniej więcej z tym, co było namalowane na ścianach, oraz z tym, co zastali w grobowcu. Ale co to znaczyło? Że odkryli śpiących bogów i że są na najlepszej drodze do tego, żeby ich obudzić. Markowi absurdalność tego pomysłu wydawała się śmieszna, tym bardziej, że wszystko wskazywało na to, że jest zgodny z prawdą.

Milczenie przerwał Jan, który chrząknął i powiedział coś na ucho Pawłowi.

– A tak – zwrócił się do tłumacza – powiedz proszę naszemu gospodarzowi,

że słyszeliśmy, że jego córka była chora i że lekarz chciałby ją zobaczyć.

Arab zgodził się, choć i z tego pomysłu nie był zadowolony. Przeszli do drugiego pomieszczenia. Dziecko kłęzczało tam na ziemi, rysując palcem na klepisku geometryczne symbole. Lekarz próbował do niego przemówić, ale ojciec pokręcił głową – dziewczynka od czasu choroby z nikim nie rozmawiała i nie reagowała na to, co się dzieje wokół niej. Ciągle była tylko zajęta swoimi sprawami. Marek zapytał o figury, które rysowała na ziemi, ale Munsir tylko rozłożył ręce. Jan obejrzał ją i stwierdził, że jest fizycznie zdrowa. Jej zachowanie wskazuje jednak na pewną postać autyzmu, lub zespołu Aspergera, na co może wskazywać zainteresowanie geometrią. Może to też być reakcja na ciężki uraz psychiczny wynikający z choroby.

Gdy wyszli, Paweł zapytał pozostałych, co o tym wszystkim sądzą.

– Ja wiem tylko, że mam mętlik w głowie – powiedział Marek. – Grobowiec nie przypomina niczego, co widziałem kiedykolwiek, obrazy na ścianie nie przypominają niczego, co widziałem w Egipcie, i legenda nie przypomina niczego, co kiedykolwiek słyszałem. Moim zdaniem mamy tu do czynienia z jakąś zupełnie nową kulturą, o której nie wiemy nic. To jest prawdopodobnie epokowe odkrycie. Ale trudno tu wyciągać jakiegokolwiek wnioski. Moim zdaniem powinieneś opublikować informacje o tym wszystkim, przekazując po prostu, co widziałeś i co udało nam się ustalić. Może z czasem zacznie się to składać do kupy.

– To ma sens – pokiwał głową Jan. – Uważam jednak, że ciała powinniśmy przetransportować do laboratorium i dokładnie przebadać. Nie znam się na tym dokładnie, ale być może metody mumifikacji opowiedzą nam coś na temat kontekstu kulturowego grobowca.

– Zgadzam się z Janem, ale nie z tobą, Marek – odezwał się po chwili namysłu Paweł. – Trzeba ciała dokładnie zbadać i mieć nadzieję, że nam to pomoże. Ale jeżeli po prostu ogłosimy światu, że coś takiego znaleźliśmy i nie wiemy, co to jest, cała sprawa zamieni się w tanią sensację, każdy będzie chciał dorzucić trzy grosze i już nigdy nie dojdziemy tego, o co tu tak naprawdę chodzi.

– Paweł, nie możesz tego robić! – oponował Marek. – Po pierwsze takie odkrycie jest... no w jakiś sposób jest własnością wszystkich ludzi, nie tylko twoją. Obowiązkiem naukowca jest odsłaniać prawdę taką, jaka jest. A po drugie, sami może mamy za małe mózgi, żeby to wszystko zrozumieć.

– Taka jest moja decyzja. Proszę cię, jako przyjaciel, przynajmniej jakiś czas nie mów o tym nikomu. I napisz mi wszystko, co ci się do tej pory udało ustalić, nawet spekulacje. Będziemy sprawdzać każdy trop i, na Boga, pytać ludzi mądrzejszych, jeżeli trzeba. Chcę tylko mieć nad tym najdłużej jak się da jakąś kontrolę.

Podczas drogi powrotnej w samochodzie dało się wyczuć napięcie między Pawłem a Markiem.

Następnej nocy Marek długo nie mógł spać. Nie zgadzał się z przyjacielem. Uważał, że tamten chce po prostu zgarnąć wszystkie laury za odkrycie. Po części to rozumiał, ale była to postawa niegodna poważnego naukowca. Nie zamierzał jednak stawać mu na drodze i w głębi serca miał nadzieję, że Paweł wie, co robi. Gdy wreszcie zasnął, miał przedziwny sen.

Szedł korytarzem do grobowca. Gdy wszedł do pierwszej komnaty, zauważył, że na podwyższeniu pali się pełno świec. Z drugiego pomieszczenia dochodził blask i dźwięki rozmów i muzyki. Gdy tam wszedł, zobaczył, że i to miejsce jest rozświetlone świecami.

Przy stole siedziały te same postaci, które widział w dzień, ale tym razem żywe. Śmiały się i rozmawiały ze sobą, jedząc przy tym i pijąc. Stoły były wręcz zawałone jedzeniem. Przed nimi, tyłem do wejścia, stał mężczyzna. Grał na jakimś instrumencie dętym, a melodia, którą z niego dobywał była chyba najpiękniejszą, jaką Marek słyszał przez całe swoje życie. Jakby wszystkie najśłodsze piosenki dzieciństwa połączyły się w jedną.

Jednak coś z mężczyzną było nie tak. Wydawał się inny, niż biesiadnicy, jak człowiek, który stoi przed ekranem telewizora. Wreszcie Marek zrozumiał, dlaczego: to nie muzyk, ale całe tło było jakby pozbawione perspektywy. Postacie wydawały się jednocześnie duże i małe, blisko i daleko.

I nagle, we śnie, Marek uświadomił sobie, że wie, na co patrzy.

Z tą myślą się obudził.

Leżał długo na łóżku próbując przywołać ostatnią myśl, nie udawało mu się to jednak. Był absolutnie pewien, że jeszcze przed chwilą rozumiał, o co chodzi w całej zagadce, jednak nie miał pojęcia dlaczego. Wreszcie sfrustrowany porzucił swe rozważania. Wstał i wyszedł z namiotu trochę odetchnąć. Poczul, że wieje silny wiatr i rozumiał, że może to oznaczać nadchodzącą burzę piaskową. Wyglądało jednak na to, że ma jeszcze sporo czasu.

Nogi mimowolnie ciągnęły go do jaskini. Chciał jeszcze raz obejrzeć malowidła. Tak doskonale zgadzały się z legendą, że aż było to podejrzane. Marek zaczynał mieć wrażenie, że automatycznie zaczyna w nich widzieć to, co chce widzieć – czyli wizualizację historii opowiedzianej przez Munsira. Te obrazki mogły znaczyć wszystko; a jego obowiązkiem jako naukowca jest nie sugerować się niczym i szukać jak najbardziej obiektywnego spojrzenia na sprawę.

Wyszedł po drewnianych schodach na półkę skalną i, zapalivszy latarkę czołową, wszedł do jaskini. Przeszedł korytarzem w głąb, aż trafił do pierwszej sali.

Dopiero teraz zastanowiło go, jaką funkcję mogła pełnić. Prawdopodobnie palono tu ogień. Było to zatem miejscu kultu, czy trzymania straży? Zganił się w myślach za to, że nie zapisuje swoich pomysłów.

Potem spojrział na figury namalowane na ścianie. Zauważył teraz, że wszystkie wyglądały podobnie. Nie zaznaczono cech płciowych. Żadna nie miała też żadnych atrybutów, czy insygniów władzy. Byli po prostu więksi niż – jak założył – zwykli ludzie. Zaczynał teraz dostrzegać, że poczynił szereg założeń *a priori*. To był duży błąd, bo patrzył na coś zupełnie odmiennego od rzeczy, które badał do tej pory. Powinien być bardzo ostrożny.

Nagle kątem oka dostrzegł ruch na granicy stożka świetlnego latarki. Odwrócił głowę w tamtą stronę. Wydawało mu się, że coś poruszyło się w drugiej sali. Teraz usłyszał stamtąd głuche pacnięcia, jakby bosych stóp o kamień.

Serce mu zamarło. Nie potrafił jednak powstrzymać ciekawości i z wolna ruszył w tamtym kierunku. Zaaferowany nie słyszał tego, że wiatr na zewnątrz się wzmacnia.

W obozie Paweł biegał wśród namiotów. Jasne było, że nadchodzi burza piaskowa i że ich nie ominie. Kazał zatem umocować, co się da, sprawdzić, czy namioty dobrze stoją i czy są dobrze zasznurowane. Nigdzie nie mógł znaleźć Marka. Nie było go w namiocie.

Marek szukał latarką źródła dźwięku. Oświetlał przy tym siedzące postacie. Wyglądały teraz jeszcze bardziej upiorne. Niektóre miały nieodkryte powieki, przez co ich oczy wyglądały jakby wodziły za nim wzrokiem. Stał w przejściu, bojąc się wejść do środka.

Wtem zauważył, że za nimi, przy tylnej ścianie, coś się rusza. Przełamał się i wszedł do środka.

– Hej, kim jesteś? Pokaż się! Co tu robisz? – wołał w ciemność, powoli zbliżając się do upiornego stołu.

Wreszcie zobaczył – w kącie kuliła się jakaś mała postać, pewnie dziecko. Ewidentnie chciało się ukryć. Zdziwiło go to bardzo.

– Co tu robisz? Nic ci nie zrobię.

Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że to dziewczynka, córka Munsira, z którym dziś rozmawialiśmy.

– Nic ci nie zrobię – powtórzył. – Chodź, wyjdziemy stąd razem. Daj mi rękę. Chodź.

Jednak dziecko, zamiast chwycić rękę, którą do niego wyciągnął, dało susa w jakiś ciemny kąt, którego Marek nie widział. Zrobił parę kroków i zatrzymał się, nie wierząc własnym oczom: patrzył na tunel, maleńkie przejście średnicy góra jednego metra, którego wcześniej nie zauważyli.

Paweł złapał jednego ze swoich studentów.

– Gdzie jest Marek?! – próbował przekrzyczeć wiatr.

– Nie wiem!

– A kto go ostatni widział?!

– Nie wiem!

– Kurwa... Schowajcie się. Nie wolno wam być na zewnątrz, bo piasek zedrze wam mięso z kości! Zrozumiałeś?!

– T-tak...

– Chowajcie się, powiedz innym!

Marek wahał się, serce waliło mu jak młotem. Nie powinien wchodzić do tunelu sam, ale gdzieś była tu mała dziewczynka, najwyraźniej sama i zagubiona; i cholera wie, co się jej może stać do rana. Kucnął i poświecił w głąb dziury. Drugi koniec ginął w ciemnościach.

– No niech to jasna cholera – powiedział, gramoląc się do środka.

Nie zmieściłby się na czworakach, dlatego musiał pełznąć. Nie był szczęśliwy, zostawiając za sobą galerię trupów przy stole. Wiedział, że nic mu nie zrobią, napawało go to jednak pewnym atawistycznym lękiem. A może działa się tak dlatego, że w jakiś symboliczny sposób przekraczał granicę śmierci i zostawiał ją za sobą, idąc ku temu, co jest poza nią.

Tunel się zwężał, tak, że w pewnym momencie musiał się przeciskać. Po kolejnych kilkunastu metrach skończył się na szczęście. Marek wyszedł z niego, otrzepał się, uniósł głowę i zdębiał. Pomieszczenie, w którym się znalazł, trzęcie już z kolei, było niewielkie. Miało jakieś cztery na cztery metry i było trochę wyższe niż mężczyzna. Nie było z niego już żadnego innego wyjścia, poza tym, z którego właśnie wyszedł, oraz studni, czy dziury w ziemi na samym środku. Nigdzie nie było też dziewczynki.

Powoli podszedł i zajrzał w czeluść. Światło nie docierało do dna. Wziął więc mały kamyk i rzucił w głąb. Nie usłyszał uderzenia o dno. Po chwili jednak ze studni doszły trzy głuche uderzenia. Spojrzał więc jeszcze raz. Na granicy światła dostrzegł jakiś ruch. A potem usłyszał płacz. Preraźliwy płacz dziecka, dochodzący ze studni.

– Jezus Maria! Poczekaj, zaraz cię znajdę! Nie ruszaj się!

Wtedy zobaczył, że coś w studni łopocze i rzuca się. Coś uderzyło go w twarz i przewróciło. Ze środka wyleciał czarny ptak wielkości kruka. Latał po komnacie, jakby szukając wyjścia.

I wydawał się z siebie głos płaczącego dziecka.

Marek leżał na ziemi sparalizowany strachem i patrzył, jak stworzenie miota się po pomieszczeniu, jakby chciało uniknąć światła, lka preraźliwie, aż w końcu znajduje jedyne wyjście i składając skrzydła przeciska się przez nie.

Chwilę jeszcze leżał zdezorientowany, próbując zrozumieć, co się dzieje. Nagle poczuł ogromną potrzebę wydotkania się na zewnątrz. Nie wstając rzucił się do dziury. Czołgał się rozpaczliwie, najszybciej, jak mógł. Dyszał ciężko, a pot ściekał mu po twarzy. Ściany tunelu jakby zbliżały się do siebie. Myślał tylko o tym, że chce wyjść, zaczerpnąć świeżego powietrza. Widział już koniec tunelu – latarka na czole oświetlała brzegi wyjścia i postument za nimi.

I wtedy poczuł, że nie może już iść dalej. Utknął – tunel opasywał go szczelnie.

To niemożliwe, pomyślał. On w tym miejscu nie był tak wąski.

Próbował się cofnąć. Też nie dał rady.

Rany boskie, przecież nie mógł się zwęzić.

Wpadał w panikę. Czuł, że zaczyna się dusić. Próbował się uspokoić, ale nie dał rady. Coraz bardziej słabł i wiedział, że zaraz przyjdzie ciemność.

Zanim jednak odpłynął całkowicie wydawało mu się, że u wylotu tunelu zobaczył ludzką stopę. Bosą ludzką stopę.

Na zewnątrz Paweł przestał już szukać Marka. Przyjaciel musiał się gdzieś schować. Zresztą bywał w gorszych sytuacjach i pewnie wiedział, co robi.

Wiecheć ruszył w stronę wejście do tunelu. Stwierdził, że tam będzie najbezpieczniej. Wiatr wiał już dosyć mocno, boleśnie kłując w skórę. Gdy już miał wspinać się na schody, wśród piasku dostrzegł postać małego dziecka.

– Hej! – krzyknął. – Schowaj się!

Zaczął biec w jego kierunku. Gdy był bliżej, dostrzegł, że to dziewczynka. Chyba skądś ją znał...

– Co ty tu do jasnej ... Nie zdążył do końca. Jakiś ciężki przedmiot uderzył go w potylicę i Paweł stracił przytomność. □-

MARIAN TOPOREK

Oblicze ideowo-polityczne teatru krakowskiego w latach 1945-1949 – część III

Walka o teatr.

Teatr krakowski 1945/1946

Oficjalne otwarcie Teatru im. J. Słowackiego odbyło się 19 lutego 1945 r. sztuką *Uciekła mi przepióreczka* Żeromskiego w reżyserii Juliusza Osterwy. Wcześniej, od 6 do 18 lutego, Teatr Wojska Polskiego grał tam *Wesele*.

Pierwszy sezon działalności teatru zdominowały jednak sprawy zgoła nieteatralne lecz – można tak stwierdzić – polityczne. Była to swoista „przepychanka” pomiędzy władzami miasta i jego Komisją Kultury a Ministerstwem Kultury i Sztuki. Chodziło o status Teatru im. J. Słowackiego i nowo otwartego Teatru Starego. Problem polegał na tym, że równie wielu zwolenników miały plany pełnej autonomii obydwu scen, co ich prowadzenia pod wspólną dyrekcją administracyjną i artystyczną. To ostatnie wiązało się z osobistymi ambicjami nie tylko urzędników od spraw kultury w Krakowie, ale również samych artystów do tego wybitnych: Pronaszki, Osterwy, Woźnika i kilku innych.

Środowisko twórcze Krakowa powoływało się na decyzje w sprawie teatrów, przedłożone wojewodzie krakowskiemu, że w sprawie teatrów nie mogą być podejmowane żadne inne postanowienia organizacyjne ani przez władze wojewódzkie ani przez zarządy miejskie¹.

Wbrew temu Zarząd Miejski Krakowa zaczął postępować w sposób zdecydowany. Istotą sporu był fakt, kto pozostanie właścicielem teatrów, inaczej mówiąc, kto będzie określał ich status prawny, podporządkowanie administracyjne oraz zasady ich finansowania. W Ministerstwie Kultury w tej sprawie podejmowano już pierwsze kroki, zmierzające do upaństwowienia teatrów i każdy przykład autonomii samorządowej był mu absolutnie nie na rękę. Władze centralne chciały sprawnie administrować kulturą, w tym teatrami, a ich status miał być w odpowiedni sposób uregulowany.

W Krakowie do sporu doszło o kwestie lokalowe teatrów; o to, kto ma do nich prawo i jakie warunki będzie stawiało miasto. A także o to, czy dyrektorzy teatrów organizują na modłę przedwojenną zespoły teatralne, mając tym razem zapewnione na stałe lokum teatrów. Tak było w przypadku Teatru Starego. Przy okazji wyszło na jaw, że Wydział Informacji i Propagandy cenzurował sztuki, których nie zatwierdzili wcześniej przedstawiciele Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego. Był to wewnętrzny, prestiżowy konflikt interesów pomiędzy Wydziałem Kultury i Sztuki UW a Wydziałem Informacji i Propagandy.²

poz. 29. Cyt. za: E. Orzechowski, *Stary Teatr i Studio...*, s. 11.

² Sprawozdanie za maj 1945 r. Oddziału Teatru Urzędu Wojewódzkiego zawiera stwierdzenie „że „zakres kompetencji w sprawach teatralnych

¹ Określał to okólnik ministerstwa z 6 maja 1946 w sprawie teatrów miejskich, „Dziennik Urzędowy Ministerstwa Kultury i Sztuki”, nr 2,

W 1946 r. Wydział Kultury i Sztuki Miejskiej Rady Narodowej, który decydował o losach teatrów Krakowa, miał swoich przedstawicieli w osobach m.in. Romana Szydłowskiego i Kazimierza Wyki, a kierownikiem wydziału był Bolesław Drobner. W Urzędzie Wojewódzkim kierownikiem Wydziału Kultury i Sztuki był Mieczysław Wejman, a Oddział Teatru reprezentował Władysław J. Dobrowolski. Należy dodać, że rotacje na tych stanowiskach były bardzo duże, a władze lokalne zaczęły decydować w sprawach artystycznych dopiero w 1946 r. Wcześniej obowiązywały decyzje ministerialne oraz krakowskich konfraterni artystów (np. związków zawodowych), które przy wielu decyzjach nie zawsze patrzyły na dobro teatralne miasta, doprowadzały do napięć, aby udowodnić swe racje dyrektorsko-artystyczne³.

Dyrektorom Teatru Starego – Bujańskiemu i Pronaszce – nie udało się też ułożyć dobrych stosunków z magistratem nie tylko na zasadzie współistnienia, ale nawet wzajemnego tolerowania się. Teatr Stary został powołany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki i ono na początku finansowało jego działalność. Teatr działał formalnie samodzielnie (organizacyjnie i artystycznie) jedynie do końca sezonu 1945/46, a później został podporządkowany dyrekcji Teatru im. J. Słowackiego. Ale w zasadzie panował taki bałagan, że nikt nie potrafił dać prawdziwej wykładni o formalnym charakterze tej instytucji.

Wydawało się, że Teatr Stary jest subwencjonowany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, a każdorazowy dyrektor pełni tę funkcję przy aprobacie Ministerstwa.

Jedno było pewne: Teatr Stary był instytucją państwową⁴.

Po parze dyrektorskiej: J.R. Bujański – A. Pronaszko (kierownik artystyczny), od połowy 1945 r. dyrektorem został Pronaszko, a kierownikiem artystycznym – Janusz Warnecki. Pronaszko przejmując teatr, przejął również konflikt z władzami miejskimi. Starał się go rozwiązać przez rok swej dyrekcji, lecz bezskutecznie. Dlatego i on z teatru musiał odejść.

Przedmiotem sporu na linii: dyrektor Teatru Starego – magistrat była sprawa budynku teatru oraz pewne sprawy finansowe. W 1946 r. magistrat starał się przejąć budynek, ponieważ został on – jego zdaniem – zajęty przez J.R. Bujańskiego bezprawnie i w tej sprawie miasto było zmuszone wystąpić na drogę sądową, przynajmniej w kwestii zapłaty czynszu. Pronaszko starał się załatwić sprawę polubownie, ale władze uznały lokatora t.j. teatr za lokatora dzikiego i kłopotliwego, dlatego starały się go za wszelką cenę pozbyć. J.R. Bujański nic sobie z tego nie robił uważając, że budynek został mu przydzielony przez ministerstwo, co jeszcze bardziej rozsierdziło władze miasta. Obydwie strony nie chciały ustąpić, robiąc sobie drobne złośliwości, m.in. wyłączenie w czerwcu 1945 r. w teatrze gazu i obłożenie go pięcioprocentowym podatkiem widowiskowym.

Sprawa miała też wyraźny podtekst polityczny. Miasto nie czyniło takich kłopotów Teatrowi im. J. Słowackiego, ale w sprawie Teatru Starego Klub Radnych PPS na wiosnę 1946 r. zmierzał wyraźnie do likwidacji teatru w tym budynku uzasadniając takie stanowisko brakiem sali reprezentacyjnej w Krakowie. Ostatecznie władze miasta zdecydowały się na podtrzymanie umowy o dzierżawę lokalu

pomiędzy Wydziałem Kultury i Sztuki oraz Wydziałem Informacji i Propagandy został ostatecznie uzgodniony i uregulowany”, Archiwum Państwowe w Krakowie, syg. UW II 3769.

³ E. Orzechowski, *Stary Teatr i Studio...*, s. 11.

⁴ Archiwum Ministerstwa Kultury i Sztuki. Departament Teatru, syg. 10/125,teczka nr 32.Cyt za; E. Orzechowski, *Stary Teatr i Studio...*, s. 42-44.

na jeden rok, tj. na sezon 1945/1946 (od 1 września 1945 r. do 31 sierpnia 1946 r.).

Na wiosnę 1946 r. nastąpiły nowe wydarzenia, które zmieniły sytuację Teatru Starego. W czasie wizyty w Krakowie, w okresie świąt wielkanocnych, wiceminister kultury i sztuki Leon Kruczkowski, odbył naradę w magistracie, w trakcie, której stwierdził, że miasto powinno przejąć Teatr Stary, ponieważ nie zostanie on upaństwowiony, a prowadzenie go jako przedsiębiorstwa półprywatnego jest dalej niedopuszczalne. Obecni na naradzie wiceprezydent miasta Eugeniusz Thor oraz Bolesław Drobner wyrazili zgodę na przejęcie teatru przez gminę. Wówczas to padła propozycja prowadzenia Teatru Starego razem z Teatrem Słowackiego jako wspólnego przedsiębiorstwa. Ministerstwo stało w tym względzie na stanowisku, aby Teatr Stary zachował jednak swoją odrębną dyrekcję⁵.

W Krakowie trwały jednak dalej gwałtowne dyskusje nad dalszym losem Teatru Starego, m.in. z udziałem prezydentów miasta: J. Wolasa i E. Thora, M. Wejmana, B. Drobnera, S. Hergeta, R. Szydłowskiego i dyrektora Pronaszki. Nieobecnym w tym sporze był jedynie Juliusz Osterwa – dyrektor Teatru Słowackiego, bardziej chyba ze względów zdrowotnych.

W naradzie, w Ministerstwie Kultury i Sztuki w dniu 29 kwietnia 1946 r., którą prowadził dyrektor M. Rusinek wyrażono następującą opinię: Teatr Stary musi być teatrem miejskim, a stanowisko jego dyrektora jest w gestii Zarządu Miejskiego. Ale postanowiono oddać salę Teatru Starego do dyspozycji Teatru im. J. Słowackiego⁶. W dyskusji tej dyr. Rusinek nazwał krakowskich radnych miejskich „burzymurkami”, co zrozumiałe, nie przysporzyło mu sympatii w mieście.

Niedługo potem – 31 maja 1946 r. – na posiedzeniu Komisji Kultury i Sztuki miasta podjęto decyzję o połączeniu teatrów miejskich: Słowackiego i Starego. Następcą Pronaszki został Władysław Woźnik, a Marian Kramarski dyrektorem administracyjnym obu teatrów⁷. W kwestiach artystycznych dyr. Woźnik miał podlegać dyrektorowi Teatru J. Słowackiego, zaś budynek przy Placu Szczepańskim 1 przekazano miastu 31 sierpnia 1946 r.

Decyzja ta wywołała burzę w Krakowie. Protestowały zgodnie: rada zakładowa i filia ZASP-u w Teatrze Starym, a pracownicy teatru zwrócili się w tej sprawie do Wojewódzkiej Rady Narodowej i ministerstwa. Protestował Zarząd Główny ZASP-u wysyłając pismo do Ministra Kultury i Sztuki Władysława Kowalskiego. Ministerstwo nakazało przerwać prace organizacyjne przed nowym sezonem, podjęte przez dyrektora, Teatru Starego Władysława Woźnika⁸.

Ostatecznie uznano jednak decyzję władz miejskich. Oba teatry zostały połączone, o czym informował list wiceministra Leona Kruczkowskiego do Bolesława Drobnera rozpoczynający się od słów: „Szanowny Towarzyszu Pośle! Drogi Doktorze!”. Wydaje się, że decyzje zapadły na wspólnym szczeblu partyjnym: PPS i PPR.

Przełom lat 1945/1946 był okresem niezwykle szybkiego umacniania się nowej władzy w Krakowie, która już w połowie 1946 r. decydowała o najważniejszych dla teatralnego Krakowa sprawach. Coraz silniej w życie teatralne ingerowało też Ministerstwo Kultury i Sztuki, mające nową wizję i wyraźnie inne spojrzenie na rolę teatrów w Polsce. Największym problemem w Krakowie był fakt, że coraz to

⁵ E. Orzechowski, *Stary Teatr i Studio...*, s. 32.

⁶ Tamże, s. 13-16.

⁷ Materiały Wydziału Oświaty Kultury i Sztuki Zarządu Miasta Krakowa 1945, Archiwum Państwowe w Krakowie, sygn. ZMKr 623, teczk. 39.

⁸ Tamże

inni, zmieniający się jak w kalejdoskopie, urzędnicy wtrącali się w sprawy teatralne, czasem nie mając w tym względzie większego rozeznania. Zaczęli bywać na próbach i kontrolować repertuar. A teatry miały nad sobą swoisty „triumwirat”: Wydział Kultury i Sztuki Miejskiej Rady Narodowej z posłem Bolesławem Drobnerem na czele, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego oraz, a może przede wszystkim, krakowską cenzurę z jej szefem Romanem Szydłowskim, który stał się „ekspertem” od spraw teatralnych. Silna też była konkurencja pomiędzy teatrami. Oprócz Słowackiego – tradycyjnie już sceny narodowej – prężnie działał Teatr Stary, Rapsodyczny Tadeusza Kotlarczyka (on sam był w 1945 r. referentem w Wydziale Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego), przez rok – Teatr Powszechny Karola Adwentowicza, Lalki i Aktora Groteska Władysława Jaremy, Wesola Gromadka Marii Biliżanki, TUR Emila Chaberskiego, nie licząc pomniejszych efemeryd⁹.

Wróćmy jednak do pierwszych tygodni życia teatralnego w Krakowie. W pierwszych dniach po wyzwoleniu Krakowa pracę rozpoczęły dwa teatry: Teatr im. J. Słowackiego i Teatr Stary.

Pierwszą premierą na scenie Słowackiego była inscenizacja *Wesela*, zaprezentowana przez Teatr Wojska Polskiego 6 lutego 1945 r. Powtórzono je 13 razy, grając aż do 18 lutego. Ale praca w teatrze rozpoczęła się na dobre przed tą datą. Jak pisze Juliusz Kydryński w pracy zbiorowej o teatrze, Niemcy w czasie okupacji zostawili w teatrze zespół techniczny, który był wykorzystywany przez grających tam teatr niemiecki. Zespół ten uchronił teatr przed kradzieżą i zabezpieczył

to, czego Niemcy nie zdołali zagrabić i ewakuować¹⁰.

Następne dni po pierwszej premierze upływały pod znakiem entuzjazmu i przygotowań do uroczystego otwarcia tej sceny. Dyrektorem Teatru Słowackiego został Karol Frycz, a dyrektorem administracyjnym Eugeniusz Bujański, a potem Marian Kramarski. Dyrektorem przedstawień operowych, które miały być dopiero zorganizowane, mianowano Teofila Trzcńskiego. Obejmując dyrekturę Karol Frycz był już bez mała człowiekiem siedemdziesięcioletnim, ale energicznie zabrał się do pracy. Zgromadził grono znakomitych aktorów, m.in. Karbowskiego, Leszczyńskiego, Solskiego, Opałńskiego, Mrożewskiego, Machowskiego i Szuberta. Z czasem dołączyła młodzież: Halina Mikołajska, Aleksandra Ślaska i Gustaw Holoubek.

Spore trudności nastręczał repertuar, czemu nie mogli zaradzić dwaj pierwsi kierownicy literaccy tej sceny: Leon Kruczkowski i Adam Polewka. Na „własną” premierę 19 lutego wybrano sztukę Żeromskiego *Uciekła mi przepióreczka* z popisową rolą Juliusza Osterwy jako Przełęckiego. Później zagrano *Zemstę* oraz *Damy i huzary* Fredry, *Balladynę* Słowackiego, *Świętoszka* Moliera i *Pannę Maliczewską* Zapolskiej. Repertuar tego okresu zawiera też sztuki Bałuckiego, Rittnera, Szaniawskiego, Niewiarowicza oraz dzieła, o których teatr pewnie byłby skłonny zapomnieć: farsę Abramowicza i Ruszkowskiego *Mąż z grzeszności* i *Przejrzały oczy nasze* Karczewskiej. Grano też klasyczne farsy Cailaveta, Flersa i Arene'a, a nawet dramaty Wandy Wasilewskiej i Juliusza Wirskiego¹¹. Wszystko to zdradzało oznaki improwizacji repertuarowych, którym nawet

⁹ Por. Diana Poskuta-Włodek, *Co dzień potarza się gra... Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie 1893-1993*, Kraków 1993, s. 168.

¹⁰ Por. *Teatr im. J. Słowackiego 1893-1963*, praca zbiorowa pod red. Alfreda Woycieckiego, Kraków 1963, s. 34.

¹¹ Tamże.

Frycz nie mógł zaradzić. Pod koniec 1945 r. odbyła się prapremiera *Penelopy* L.H. Morstina i polska prapremiera *Rosjan* W. Simonowa.

Na początku sezonu 1945/46 zagrano *Antygonę* Sofoklesa i *Mieszczan* Gorkiego, ale też *Zamach* Zygmunta Brezy i Stanisława Dygata. Sceptycznie oceniał te wysiłki Kazimierz Wyka, stawiając teatrowi z tak skonstruowanego repertuaru poważny zarzut¹², ale Karol Frycz mógł też powoływać się na czynniki obiektywne. To, że teatrowi brakowało świeżego oddechu, spowodowane było nie tylko improwizowaniem i doborem zespołu z różnymi doświadczeniami i nawykami aktorskimi, ale również obiektywnymi brakami materiałowymi, trudnościami finansowymi, cechującymi ciężki, powojenny czas, a także tworzenie się nowej, innej niż dotychczas, państwowości. Wystarczy dodać, że wobec braków finansowych Frycz zrezygnował nawet ze swej dyrektorskiej pensji. Gdy i to nie pomogło – wyraźnie zniechęcony – zrezygnował z dyrekcji, zachowując jedynie katedrę scenografii na ASP. Lecz Frycz dokonał w krótkim okresie bardzo wiele, bez czego nie byłoby prawdziwego teatru, co zostawił następcom. Odremontował Teatr (kostiumownię, zbrojownię i dekoratornię) i udało mu się sprowadzić z Niemiec część wywiezionych tam zasobów teatru, m.in. aparatury oświetleniowej. Wiele lat później, w 1957 r., miał pełną satysfakcję, zostając honorowym dyrektorem teatru.

Dyrekcję teatru objął po Fryczu wielki aktor – Juliusz Osterwa. O tym pisać będziemy nieco później, oceniając pełne sezony teatralne, poczynając od pierwszego – 1945/1946. Osterwa był związany trwale z Krakowem. Tu się urodził i rozpoczął w 1904 r. swą karierę aktorską w Teatrze

Ludowym, razem z Jaraczem i Węgrzynem. Toteż przyjęto go jako swojego i entuzjastycznie oklaskiwano w *Przezióreczce* i *Fantazym*, doceniając jego wielkość, ale Osterwa był już człowiekiem mocno schorowanym i zmarł wiosną 1947 r.

Jak już wspomnieliśmy Stary Teatr rozpoczął swą działalność programową w dniu 25 stycznia 1945 r., kiedy to Pełnomocnik Rządu – Jan Karol Wende, ówczesny Wiceminister Kultury i Sztuki, podpisał nominację dla dyrekcji: Bujalski – Pronaszko – Bartnicki, wydając jednocześnie upoważnienie do zajęcia przez nich na cele teatralne budynku przy ulicy Szczepańskiej 1. Nowa dyrekcja zabrała się energicznie do pracy, doprowadzając go do stanu używalności, kompletując przy tym zespół artystyczny i techniczny. To ten budynek stał się na wiele lat kością niezgody dla dyrekcji teatru i krakowskiego magistratu. Przy teatrze utworzono również Studio Aktorskie, do którego przyjęto ponad stu słuchaczy, z których wyrosło grono wybitnych aktorów o głośnych dziś nazwiskach. Chociaż skompletowanie zespołu aktorskiego było sprawą stosunkowo prostą, to jego utrzymanie stwarzało już ogromne problemy. Z powodu braku pieniędzy na pensje teatr wypłacał jedynie skromne zaliczki. Jako pierwsi otrzymali je kierownicy literacy: Tadeusz Breza i Wojciech Natanson oraz aktorzy: Wiktor Biegański, Tadeusz Kantor, Janusz Warnecki, Zofia Małynicz, Maria Bilizanka i Maria Dulęba. Pracowano w ciężkich warunkach, bez węgla i szyb w oknach. Pierwszymi dokonania-
mi – jak wspominaliśmy – były poranki literackie: składanki *Warszawo – chusto Bereniki*, oraz fragmenty *Dziadów* i *Kordiana*. Następnie fragmenty utworów, m.in. Jana Wiktora, Witolda Zechentera, Władysława Broniewskiego, Borysa Pasternaka i Juliana Przybosa. (...)

W sumie, w ciągu pół roku przygotowano cztery premiery, otwarto dwie

¹² Kazimierz Wyka określał to dobitnym stwierdzeniem „Renesans Zapolskiej czyli omdlenie teatru”. Zob. K. Wyka, *Pozycja Krakowa*, „Twórczość” 1945, z. 2, s. 188.

sceny, zorganizowano wiele imprez okolicznościowych (poranki), aktorzy brali udział w słuchowiskach radiowych (*Akropolis* Wyspiańskiego). Nie było to wcale mało. Można uznać, że krótki sezon 1945 r. zakończył się sukcesem teatru. Starał się on pozyskać nowego widza: wojsko, robotników i młodzież szkolną. Szczególnie z myślą o tej ostatniej organizowano poranki teatralne, gdzie część miejsc była bezpłatna, a prezentowane sztuki poprzedzały pogadanki – najczęściej Zygmunta Leśnodorskiego. Te artystyczne propozycje spotykały się z pełną życzliwością młodych widzów.

Teoria Eisensteina Cwojdzińskiego grana była na przemian z *Mężem doskonałym*. Obie sztuki osiągnęły ponad 40 przedstawień, co ze względu na kampanię prowadzoną przeciw Zawieyskiemu uznać można za sukces teatru. *Teoria snów* wyreżyserowana przez Osterwę przeszła bez echa, głównie ze względu na słaby tekst, choć zwracały uwagę znakomite role początkujących aktorów: Danuty Szaflarskiej i Tadeusza Łomnickiego. Znakomite recenzje zbierał *Dzień jego powrotu* Zofii Nałkowskiej, napisany jeszcze w 1931 r. i dotychczas nie grany, przede wszystkim za grę aktorską: Janusza Warneckiego, Zofii Małynicz, Jana Ciecierskiego i Danuty Szaflarskiej¹³. Podobnie pochlebne recenzje zbierał *Cyd* wystawiony na dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej 25 lipca 1945 r. Przedstawieniem tym zachwycał się Czesław Miłosz, o czym pisał w „Odrodzeniu”: „o słodczy Krakowa i atmosferze jakby z włoskich miast”¹⁴.

Szczególnym zainteresowaniem cieszył się bardzo dobry zespół aktorski. Oprócz już wymienionych od sezonu 1945/1946 tworzyli go: Bolesław

Mierzejewski, Mieczysława Ćwiklińska, Tadeusz Białoszczyński, Lech Madaliński, Igor Smiałowski i Kazimierz Rudzki. A ze Studia przy teatrze przebijali się: Władysław Sheybal, Danuta Szaflarska, Tadeusz Łomnicki, Stanisław Zaczyk, Adam Mularczyk i Roman Gołębiowski.

Najwięcej kontrowersji w repertuarze wzbudzał *Mąż doskonały* Zawieyskiego ze względu na wybór tematu (Biblia) i konotacje katolickie jej autora. Utwór został napisany po Powstaniu Warszawskim. Nawiązywał do tych tragicznych wydarzeń, a w motywie ruin kojarzył dwa światy: współczesny i biblijny (nieszczęścia Hioba). Wystawienie sztuki Zawieyskiego nie było wyborem przypadkowym. Realizowano w ten sposób założenia dyrekcji, stawiającej sobie za cel promowanie współczesnej polskiej dramaturgii. Sztuka zresztą broniła się sama, poprzez nowatorstwo formalne dramatu. Autora zaatakował Leon Kruczkowski w artykule *Mesjasz odgrzewany*, który podważał tezę Zawieyskiego o zwycięstwie dobra i pokory stwierdzeniem „Prawdziwa historia świata jest historią zła”¹⁵. Wtórował mu Jacek Frühling w „Głosie Pracy”¹⁶ i Stanisław Witold Balicki w „Dzienniku Polskim”¹⁷. Z trudem bronił sztuki Tadeusz Kudliński w „Tygodniku Powszechnym”.

Wystawienie dramatu Zawieyskiego było więc zdaniem krytyków wywodzących się z nowej rzeczywistości nie do przyjęcia. I na tym można by poprzestać gdyby nie fakt, że utwór poczytano za deklarację ideową tego zespołu. Dlatego należy mniemać, że pierwszy spór o Teatr Stary miał swoją podbudowę ideologiczną. Tym bardziej, że poczynania dyrekcji teatru na to wskazywały, jak chociażby

¹⁵ L. Kruczkowski, *Mesjasz odgrzewany*, „Odrodzenie” 1945, nr 20, s. 2.

¹⁶ J. Frühling, *Handlarze mistycyzmu*, „Głos Pracy” 1945, nr 7, s. 4.

¹⁷ St. W. Balicki, *Czy doskonały*, „Dziennik Polski”, 8 IV 1945.

¹³ J. Frühling, *Dyskutujemy na tle faktów literackich*, „Dziennik Polski”, 9 VII 1945.

¹⁴ Cz. Miłosz, *Cyd Corneille’a w Krakowie*, „Odrodzenie” 1945, nr 37, s. 7.

powierzenie właśnie wtedy Zawieyskiemu kierownictwa literackiego teatru w sezonie 1945/1946.

Następna sztuka wystawiona przez teatr na otwarcie sezonu 1945/1946, przygotowana z wielkim pietyzmem realizacyjnym i scenograficznym, przy dużych nakładach finansowych, *Masław* Jerzego Zawieyskiego, zdawała się potwierdzać tezę o „starej linii” Starego Teatru, opartą o „nacjonalizm i konserwatyzm ideologiczny”. Ataki przybrały na sile. Sztuka napisana była w czasie wojny i była nagrodzona przez konspiracyjną Radę Teatralną, w której zasiadali również późniejsi kierownicy Starego Teatru: Pronaszko, Warnecki i Zawieyski. Zatem „spisek” był widoczny gołym okiem. Władze polityczne uznały, że należy więc reagować natychmiast. Łatwo było zatem tropić „spisek krakowsko-łódzki”.

Ważnym elementem charakteryzującym krótki sezon 1945 r. było zauważenie istotnej różnicy pomiędzy dokonaniem teatrów: Słowackiego i Starego. Tak pisał o tym Ryszard Matuszewski: „Kontrastowy charakter tych dwu scen uznać by można za typowy; jedna z nich to piękny gmach, tradycja, sławni aktorzy, rutyna; drugi to walka z szablonem, świeżość inwencji, dążność do oparcia się nie o pojedynczą grę aktorów, ale o zgrany wysiłek całości zespołu, słowem to, co opozycja teatralna w stosunku do rutyny sceny »oficjalnej« reprezentować powinna”¹⁸.

Inne sceny Krakowa też zaznaczyły swoją obecność w pierwszych miesiącach wolności. 22 kwietnia 1945 r. w sali kina „Wolność” inaugurował działalność teatr Mieczysława Kotlarczyka prezentując teksty Mickiewicza i Słowackiego w interpretacji Danuty Michałowskiej i M. Kotlarczyka. W tym samym roku odbyło się jeszcze kilka premier tego teatru.

Pan Tadeusz w nowej powojennej wersji scenicznej, *Beniowski* Słowackiego oraz *Hymny* Kasprowicza. Teatr słowa – jak określano działania Kotlarczyka – zyskał sobie pełne uznanie publiczności nie tylko przez dokonania wojenne. W 1946 r. przygotował kilka nowych premier, w tym *Króla Duchy* Słowackiego. W 1945 r. teatr występował m.in. we Wrocławiu i Częstochowie zyskując pozytywne recenzje, m.in. ministra Wincenego Rzymowskiego¹⁹.

Ciekawie zaprezentował się w 1945 r. odrodzony Teatr Lalki i Aktora „Grotekska” pod kierownictwem Władysława Jaremy. Premiera inauguracyjna odbyła się 9 czerwca 1945 r. Był to *Cyrk Tarabumba*, wystawiony w siedzibie teatru przy ulicy Skarbowej 2. Nowością „Grotekski” było wprowadzenie żywego aktora pomiędzy lalki, co dawało interesujące efekty, m.in. w następnych premierach: *La serva padrona* i *Szewczyku Dratewce*. W operze komicznej Pergolesiego *La serva padrona* śpiewali m.in. młodzi artyści: Krystyna Żukowska i Bronisław Pawlik. A dekoracje i kostiumy do pierwszych premier przygotowali: Andrzej Stopka, A. Cybulski i Zofia Jaremowa. W dzień premiery *Szewca Dratewki* (1 września 1945 r.) Władysławowi Jaremie odebrano teatr decyzją Ministerstwa Kultury i Sztuki, a tymczasowe upoważnienie na reorganizację zespołu uzyskał A. Stopka. Następnie teatr prowadziła rada zakładowa, ale i jej zabrano koncesję, zamykając go²⁰. Nie było to niczym nowym w Krakowie. I tę placówkę prześladowały spory o budynki teatralne, prawa własności, a także rozgrywki personalne.

Jak istotne były to sprawy, pokazuje przykład walki o scenę Teatru Bagatela,

¹⁹ *XXV lat Teatru Rapsodycznego w Krakowie 1941 – 1966*, Kraków 1966, s. 10.

²⁰ Sprawozdania okresowe z działalności Wydziału Kultury i Sztuki UW, 1945, Archiwum Państwowe w Krakowie, sygn. UW II 3769.

¹⁸ R. Matuszewski, *Kronika krakowska*, „Kuźnica” 1945, nr 3, s. 30.

który zajmował salę kina „Scala” przy rogu ulicy Karmelickiej i Krupniczej. O ten budynek boje toczyło kilka zespołów. Ostatecznie otrzymały go do wspólnego użytkowania: Teatry Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego oraz prowadzony przez Mysłakowską i Biliżankę teatr dla dzieci Wesoła Gromadka, który powstał wiosną 1945 r. i początkowo mieścił się w Starym Teatrze.

Interesującym teatrem, który podjął w 1945 r. swą działalność w nowej formie był Teatr Powszechny im. Żołnierza Polskiego. Kierowali nim przybyły z Katowic Karol Adwentowicz i Wilam Horzycy. W swych zamierzeniach miał to być teatr robotniczy ze starannie dobranym repertuarem oraz organizacją widowni. Na inaugurację działalności teatru (26 października 1945 r.) wybrano sztukę Maurice Maeterlincka, *Burmistrz Stylmondu*, a całkowitym zaskoczeniem było wystawienie *Dwóch teatrów* Szaniawskiego (24 lutego 1946), w reżyserii Ireny Grywińskiej i scenografii Tadeusza Kantora. W sumie teatr przetrwał tylko jeden sezon, dając jednak kilka premier w budynku przy ul. Lubicz, zanim został rozwiązany. Trudności z pozyskaniem widzów, w nowym budynku, oddalonym od centrum, oraz inne względy zadecydowały o jego zamknięciu. Należy jednak przypomnieć, że w tym teatrze debiutowali uczestnicy Studia Starego Teatru: Marian Cybulski, Andrzej Szczepkowski i Tadeusz Schmidt²¹.

W 1945 r. pojawiły się różne efemerydy, które rozpoczynały w Krakowie działalność pod szyldem teatru robotniczego. Jedne takimi były, inne wykorzystywały koniunkturę. Interesującą instytucją, która przetrwała do dziś, było założenie amatorskiej sceny – Teatru Kolejarza. Teatr debiutował 18 sierpnia 1945 r. *Ojcowizną* F. Dominika. Repertuar lat 1945-1946 tego

teatru przedstawia się zgoła egzotycznie. Prezentowano *Chatę za wsią* według Józefa Ignacego Kraszewskiego, *Trójkę hultajską* Johanna Nestroya i inne utwory współczesne. Ale działalność tego teatru, który swą żywotnością zadziwia do dziś, będąc swoistym fenomenem, zasługuje na osobne potraktowanie.

Ciekawym eksperymentem było powołanie się pod egidą kuratorium oświaty, w porozumieniu ze stronnictwami politycznymi oraz związkami zawodowymi Międzyorganizacyjnego Teatru Robotniczego im. Ignacego Fika. Teatr przygotowywał montaż realizowane przez M. Mikrutę i nigdy nie zdobył większej popularności. Przy teatrze działało Ognisko Wychowania Estetycznego, które niczym szczególnym się nie wyróżniło, podobnie jak założony przez Mikrutę Objazdowy Teatr Miniatur dla widza wiejskiego²².

Inne inicjatywy teatralne Krakowa w 1945 r. warte odnotowania ze względu na swój charakter lub zamierzenia były egzotyczne. Niezbyt jasne są losy Polskiego Teatru Objazdowego im. Wł. Broniewskiego lub Ruchomego Teatru im. Bogusławskiego. Działał on prawdopodobnie trzy miesiące, a jego losy były związane z salą kina „Scala”²³.

Latem 1945 r. rozpoczął także działalność Teatr Młodzieży Akademickiej wystawiając moralitet Józefa Czechowicza *Niegodzien i godni*. Przedstawienie odbyło się w czasie wieczoru upamiętniającego poetę, który zginął w pierwszych dniach wojny w Lublinie. Jedynie interesującymi były w tej inscenizacji opracowanie sceniczne i dekoracje T. Kantora²⁴.

Miejscem ciekawych inicjatyw był, podobnie jak przed wojną Teatr Cricot 2 działający w Klubie Związku Plastyków

²² J. Kydryński, *Teatr robotniczy i nowe dokonania*, „Odrodzenie” 1945, nr 34, s. 6.

²³ E. Orzechowski, *Stary Teatr i Studio...*, s. 21.

²⁴ „Tygodnik Powszechny”, 1945, nr 22, s. 8.

²¹ Tamże, s. 20.

przy ulicy Łobzowskiej. Wystawiono tam 7 czerwca 1945 r. *Śmierć fauna* Tytusa Czyżewskiego, znanego międzywojennego futurysty, w reżyserii Władysława Józefa Dobrowolskiego i scenografii Tadeusza Kantora²⁵. Nie zaniedbano w Krakowie prób zmierzających do zorganizowania stałej opery. W 1945 r. zbliżało się prawie pół wieku od podjęcia tej inicjatywy²⁶. Wspominaliśmy, że jej nowym dyrektorem został w 1945 r. znakomity reżyser i wieloletni dyrektor Teatru im. J. Słowackiego w okresie międzywojennym Teofil Trzciniński.

27 czerwca 1945 r. na scenie Domu Żołnierza wystawiono *Verbum nobile*, a w dwa miesiące później na scenie Teatru Słowackiego *Halkę* m.in. z Ewą Bاندurską-Turską i początkującym Andrzejem Hiolskim. Do planów utworzenia w Krakowie opery powrócono w 1946 r. powołując m.in. Towarzystwo Przyjaciół Opery. Jego osiągnięciem było wystawienie w Teatrze im. J. Słowackiego *Toski* Pucciniego²⁷.

Teatr im. J. Słowackiego

Podkreślając ciągłość swego działania, Teatr im. J. Słowackiego utrzymał w mocy wszystkie angaże z 1939 r. Zespół zatem składał się z artystów starszego i średniego pokolenia, pracujących w teatrze przed wojną. Tworzyli go artyści niekoniecznie grający w ostatnim sezonie przedwojennym: Maria Bednarska, Zofia Jaroszevska, Antonina Kłońska, Barbara Ludwiżanka, Kazimiera Szyszko-Bohusz, Anna Wallek - Walewska, Tadeusz Białkowski, Włodzimierz Macherski, Zdzisław

Mrożewski, Waclaw Nowakowski, Kazimierz Opaliński, Ludwik Hauser - Ruszkowski, Kazimierz Szubert, Władysław Woźnik, Roman Wroński i inni. Zostali przyjęci do zespołu: m.in. Mieczysława Ćwiklińska, Wanda Siemaszkowa i Karol Podgórski.

Pierwszy pełny sezon 1945/1946, podobnie jak następne, aż do śmierci Osterwy, upłynął pod znakiem kontynuacji. Teatr pod dyrekcją Karola Frycza grał przez półtora roku „po staremu”, wystawiając Fredrę, Rittnera, Zapolską (*Skiz* z Mieczysławą Ćwiklińską), Słowackiego (*Balladyna* z Zofią Rysiówną i Kazimierą Szyszko-Bohusz), Bałuckiego, Sofoklesa, Moliera, Shawa, Gorkiego, Cailaveta-Flersa i Niccodemiego. Był to teatr tradycyjny, oparty na starych realistycznych wzorach. Nic dziwnego, skoro ton nadawali przedwojenni giganci sceny: Ludwik Solski, Jerzy Leszczyński i Wanda Siemaszkowa. Ludwik Solski 12 stycznia 1946 r. obchodził (w wieku 90 lat) swój jubileusz pracy scenicznej i nawet nauczył się nowej roli Ciaputkiewicza w *Grubych rybach* Bałuckiego, w reżyserii samego Frycza. Oprócz niego w teatrze reżyserowali: Osterwa, Karbowski, Trzciniński i Chaberski.

Repertuar był przykładem klasycznej składanki, nad którą nie panował nawet sam Frycz. Obok *Penelopy* Ludwika Hieronima Morstina (Odys – Leszczyński, Penelopa – Jaroszevska), pojawiały się pozycje stanowiące niejako ukłon pod adresem nowej władzy (*Przejrzały oczy nasze* Wandy Karczewskiej i *Bartosz Głowacki* Wandy Wasilewskiej), ale na nic się to Fryczowi zdało. Pierwsze ataki, w których dominowali „pryszczaci” nie ominęły nawet *Przezióreczki* Żeromskiego. Jan Kott nazwał wystawienie jej na inaugurację pracy teatru „przypadkową pomyłką artystyczną”, a zapowiedź wystawienia *Wyzwolenia* i *Wesela* przypomnieniem, że „mamy trzecią a nie drugą niepodległość”

²⁵ „Tygodnik Powszechny”, 1945, nr 14, s. 4.

²⁶ Pierwsze projekty wzniesienia gmachu operowego pojawiły się w początkach XX w., ale dopiero w 2008 r., a więc po ponad stu latach walki o nowy gmach, Opera Krakowska otworzyła swoje podwoje.

²⁷ E. Orzechowski, *Stary Teatr i Studio...*, s. 20.



Teatr Słowackiego

oraz, że „Żeromski się zestarzał [...] ale nie spodziewaliśmy się jak bardzo”²⁸.

Karol Frycz zupełnie pogрузzył się na wiosnę 1946 r. Nie pomogło wystawienie w marcu i kwietniu ważnych propagandowo utworów: *Bartosza Głowackiego* Wandy Wasilewskiej i *Portretu generała* Juliusza Wirskiego (co zresztą okazało się totalną klapą), jak również reżyseria Frycza i Karbowskiego oraz scenografia T. Kantora. Widownia świeciła pustkami. Ciekawym okazał się *casus* Wirskiego, wkrótce czołowego twórcy socrealizmu. Mieszkał w Krakowie, w Domu Literatów przy ulicy Krupniczej 22 i energicznie ingerował w wystawianie swoich „dzieł”. Domagał się m.in. w obsadzie Leszczyńskiego oraz protestował przeciw skrótom, które poczynił Frycz²⁹. Wsławił się już nieco wcześniej, 31 stycznia 1945 r., w czasie pierwszego po okupacji poranku w Starym Teatrze, karygodnym wybrykiem, który zmroził wszystkich tam obecnych. Doniosłym głosem, aby wszyscy go słyszeli, wygłosił filipi-

kę przeciw wszystkim pisarzom, którzy przed wojną nie wyznawali światopoglądu marksistowskiego i zażądał kategorycznie, aby nie dopuścić ich do wzięcia udziału w poranku. Nie wytrzymał tego prowadzący spotkanie Jan Wiktor, który ryknął: „A wyście co robili przed wojną! Pisaliście w szmatławym *Kurierze Porannym*! To was należałoby wyrzucić z tej sali!”³⁰. Niedługo po premierze *Portretu generała* w Słowackim na scenie Starego Teatru grano jego *Cement*, który zszedł po kilkunastu przedstawieniach z afisza, choć sam autor stał przed kasą i namawiał do kupowania biletów na swe „dzieło”.

Najgrubszego kalibru atak wyszedł ze strony „człowieka Kuryluka” – Tadeusza Brezy (tak nazwano pisarza w „Odrodzeniu”), który atakował całą dyrekcję Teatru im. J. Słowackiego. Pretekstem było przydzielenie mu gorszego miejsca na widowni niż „ludziom Kardynała”, czyli środowisku *Tygodnika Powszechnego*, które reprezentował świetny krytyk i znawca teatru – Tadeusz Kudliński³¹.

²⁸ Jan Kott, *Uciekła mi przepióreczka*, „Odrodzenie” 1945, nr 11, s. 10.

²⁹ J. Zagórski, *Plotki teatralne i kwasy*, „Tygodnik Warszawski”, nr 19, 26 V 1946 r.

³⁰ Tadeusz Kwiatkowski, *Niedyskretny urok pamięci*, Kraków 1982, s. 107-108.

³¹ T. Breza, *Diablel za skórą i ludzie Kardynała*, „Odrodzenie” 1946, nr 23, s. 11.

Teatr Stary 1945/1946

Pierwszy, pełny sezon Teatru Starego – 1945/1946 – był z wielu względów szczególny. Pronaszko, obejmując po Bujańskim dyrekturę tej sceny, miał sytuację pozornie łatwiejszą, ponieważ istniał skonsolidowany zespół, dwie sceny były w całości gotowe, scena kameralna częściowo także, a publiczność dobrze przyjęła pierwsze przedstawienia. Ale trudności, jak się okazało, były większe. Niezależnie zostały palące sprawy administracyjne, status prawny teatru, jego finansowanie oraz stosunek do władz miejskich. Przede wszystkim – jak się okazało nieco później – nie do końca określony był profil tej sceny, co spowodowało, że sezon 1945/1946 to okres pochwał, ale również niewybrednych ataków pod adresem doboru repertuaru i linii programowej teatru. A wydawało się, że właśnie linia programowa została najszybciej określona i realizowana przez Pronaszkę. Co prawda, musiał on, ze względów finansowych, zrezygnować z kilku własnych propozycji programowych i scenograficznych, ale i tak repertuar teatru skomponowany był interesująco. Pisał o tym po latach jeden z kierowników literackich teatru – Wojciech Natanson, określając tak ówczesne teatralne założenia programowe: „Otóż pięknym zrządzeniem losu ten sam Stary Teatr miał służyć polskiej myśli teatralnej. Drugim zbiegiem okoliczności właśnie Stary Teatr stał się w różnych znaczeniach – młodym. Od pierwszej chwili postanowiono tu wystawiać sztuki współczesne [...] Teatr im. Słowackiego mimo licznych (i świątecznych) „uzupełnień” służył dalszemu rozwojowi „stylu” krakowskiego [...] Teatr Stary natomiast eksperymentował, próbował nowych metod i środków”³².



Teatr Stary

Czy takie założenia programowe wyszły na dobre Staremu, pokazuje sezon 1945/1946 oraz jego ocena. Teatr bowiem wielokrotnie sam się „podkładał” czynnikom oficjalnym i niejako podcinał gałąź, na której siedział.

Stary otworzył sezon sztuką Pierre`a Marivaux *Igraszki trafu i miłości*, w przekładzie T. Boya-Żeleńskiego (premiera 4 IX 1945 r.), w reżyserii Janusza Warnecckiego. Na scenie kameralnej ten sam reżyser opracował sztukę *Nieboszczyk Pan Pic Ch. de Peyret-Chappuisa* (premiera 12 X 1945 r.). Recenzenci podkreślali znakomitą obsadę aktorską oraz uznanie dla wykonawców (m.in. dla Marii Dulęby), zwracając jednocześnie uwagę na niekoniecznie trafny wybór sztuki. Gromy posypały się dopiero po następnych premierach z obcego repertuaru: *Pigmalionie* Shawa (7 XI) oraz *Roxy Connorsa* (19 XII). Zdaniem krytyki były to zupełnie fałszywie wybrane pozycje, a ich realizacja pozostawiała wiele do życzenia³³. Szczególnie napastliwy był Tadeusz Breza („Spisek lichy”, „Porywać się na *Pigmaliona*

³² W. Natanson, *Teatr czy wodociągi? Sto lat Starego Teatru w Krakowie. Praca zbiorowa dla uczczenia setnej rocznicy objęcia dyrekcji przez*

Adama Skorupkę i St. Koźmiana, Kraków 1965, s. 40-45.

³³ Por. E. Orzechowski, *Stary Teatr i Studio...*, s. 55.

to rzeczywiście wstyd”, „Na podwórze z nim”) ³⁴. Inne recenzje utrzymane były w podobnym tonie. Rzeczywiście propozycje repertuarowe nie spełniały wcześniejszych zapowiedzi. Według planów miały się pojawić: *Rozbitki* Józefa Bliźnińskiego, *Wawrzyny* Leopolda Staffa i *Masław* Jerzego Zawieyskiego.

Nieco odmienne głosy – czasem wręcz peany pochwalne – pojawiły się po premierze *Masława* Zawieyskiego. Sztukę wystawiono z wielkim pietyzmem, przede wszystkim scenograficznym. Trzeba przyznać, że była to kosztowna, ale jedna z najbardziej udanych scenografii Pronaszki, pokazana wówczas na polskich scenach (wprowadzono na scenę geometrię brył, tak charakterystyczną dla tego scenografa). Podkreślano dobrą reżyserię i wykonanie scen zbiorowych oraz grę Tadeusza Białoszczyńskiego (*Masław*) i Lecha Madalińskiego (*Mieszko II*). Breza tym razem pisał o wydarzeniu teatralnym: „Był to pokaz nieznanego, polskiego utworu, pokaz wielkiej inwencji dekoratorskiej, wzorowej reżyserii i doskonałej muzyki” ³⁵. Podobnie wypowiedzi się recenzenci „Tygodnika Demokratycznego”, „Tygodnika Powszechnego” oraz „Trybuny Robotniczej”. Jedynie krakowski „Dziennik Polski” był odmiennego zdania. W kolumnie satyrycznej (?) pisano „Zawieyskiego grają co pół roku, ale tylko w Krakowie”[...] Przez najbliższe trzy miesiące będziemy żyć z Zawieyskiego i Pronaszki”. Co najdziwniejsze, były to słowa Artura Marii Swinarskiego ³⁶. Drwiono sobie z dorobku historycznego Zawieyskiego, padających słów o słowiańszczyźnie, zjednoczeniu, germanizmie, itd. Były to uszczypliwości przede

wszystkim pod adresem Pronaszki, któremu odmawiano kwalifikacji na dyrektora teatru; atakowano również J. Warneckiego jako kierownika artystycznego i aż dwu kierowników literackich: Wojciecha Natansona i Jerzego Zawieyskiego. Ze stuprocentową pewnością chodziło tu o zwykłą zawiść i konkurencję, również praktykowaną w środowisku literacko-artystycznym Krakowa.

Po prapremierze *Masława* wystawiono całą serię prawykonań dramatów polskich. Stary tu nie ugiął się przed krytyką repertuarową, rzecz w tym, że nie były to sztuki najwyższych lotów. Wystawiono więc na dużej scenie: *Jajko Kolumba* Stefana Flukowskiego, w reżyserii J. Kocchlera i scenografii A. Stopki (1 II 1946 r.), które osiągnęło ok. 50 przedstawień, „Drogę do świtu” Bogdana Peplowskiego (15 III), w reżyserii J. Wyszomirskiego i scenografii A. Stopki (ok. 20 przedstawień). Na małej scenie wystawiono *Jasona* Artura Marii Swinarskiego, w reżyserii K. Severin-Zelwerowicz ze scenografią J. Kosińskiego (11 II), który osiągnął ok. 30 przedstawień. Recenzenci podkreślali na ogół dobre inscenizacje i wady prezentowanych sztuk. „Dowcipy, które były dobre w warunkach obozowych” ³⁷. „Rewia na gruzach Warszawy” ³⁸. „Nieporozumienie”, „brak jednolitej spójnej idei, społecznej i artystycznej w repertuarze” ³⁹. Sztuki natomiast bronił z przekonaniem T. Kudliński w „Tygodniku Powszechnym” ⁴⁰.

Takie rozbieżności w ocenach wywołane były – jak się wydaje – z różnicy w ostrości kryteriów jakie stosowali recenzenci. Jednocześnie wydaje się,

³⁷ S. Otwinowski, *Jajko Kolumba*, „Odrodzenie”, 1946, nr 7, s. 11.

³⁸ S.W. Balicki, *Droga do świtu – Pasażer bez bagażu*, „Dziennik Polski” 14 IV 1946.

³⁹ S. Otwinowski o sztuce A.M. Swinarskiego – *Jason*, „Odrodzenie” 1946, nr 8, s. 12.

⁴⁰ T. Kudliński, *Z teatrów krakowskich*, „Tygodnik Powszechny” 1946, nr 8, s. 7.

³⁴ T. Breza, *Przegląd teatralny*, „Odrodzenie” 1945, nr 51, s. 7.

³⁵ T. Breza, *Masław – Zawieyskiego*, „Odrodzenie” 1946, nr 1, s. 11.

³⁶ A.M. Swinarski – „Dziennik Polski”, 1945, nr 321, s. 11, kolumna *Uśmiech teatru*.



Teatr Groteska

że dyrekcja Teatru Starego popełniła błąd taktyczny, lansując tyle sztuk współczesnych na raz, szczególnie autorów krakowskich, którzy byli również kierownikami literackimi teatrów. Istotnym był też osobisty stosunek wielu krytyków do Pronaszki. W następnym sezonie wystawiono m.in. pominiętą teraz *Wielkanoc* Stefana Otwinowskiego. I nie był to przypadek, że Otwinowski był wtedy kierownikiem literackim Starego Teatru. Nie bez znaczenia było też powszechne ubóstwo wielu autorów sztuk. A wystawienie napisanej w pośpiechu sztuki to był zastrzyk tak potrzebnych pieniędzy.

Oceniając sezon 1945/1946 w Starym Teatrze należy podkreślić widoczną poprzez preferowanie utworów współczesnych konsekwencję w układzie repertuaru. Wystawiono cztery polskie sztuki prapremierowe, co świadczy o sporej odwadze dyrekcji teatru. Wybór sztuk współczesnych był – jak się wydaje – podyktowany koniecznością finansową. Cieszyły się one największym wzięciem, przede wszystkim ze względu na znakomite aktorstwo tak uznanych gwiazd, jak również uzdolnionych debiutantów. Doceniano perfekcyjne aranżacje i opracowania autorskie, co dobrze świadczy o poziomie reżyserskim w teatrze. Działalność Starego Teatru w sezonie 1945/1946 wyróżniała się pozytywnie na tle innych scen nie tylko w skali Krakowa, a recenzenci

podkreślali dobrą opinię o Starym Teatrze w nowej rzeczywistości powojennej.

Teatr – tak. Ale o jakim obliczu?

W 1945 r. przez łamy *Odrodzenia* przetoczyła się dyskusja na temat roli i zadań kultury, w tym teatru, w nowej rzeczywistości społecznej i politycznej. Zabierający głos twórcy byli prawie jednomyślni, że teatr polski po 1945 r. powinien zmienić nie tylko swoje zadania, ale również oblicze ideowo – polityczne.

Zacząło się od tekstu Jana Kotta *Urzędnicy kultury*, który na przykładzie Łodzi udowadniał, że w instytucjach kulturalnych zasiadają ludzie, którzy swoim skostnieniem, nie są godni decydować o losach kultury w nowej rzeczywistości⁴¹. Jan Kott przedstawiał „urzędników od kultury” i ich działania w krzywym zwierciadle pisząc o tym, że przy rejestracji „muzyków, linoskoczków, tancerek, śpiewaków, literatów, grajków ulicznych, cyrkowców i malarzy” (kolejność i takie zestawienie nie jest przypadkowe), „to oni decydują np. ile powinien dostawać mięsa młody tygrys, a ile para lwów”⁴².

Podkreślał również, że mnogość instytucji „od kultury” (Wojewódzkie Wydziały Kultury i Sztuki, Wydziały Informacji i Propagandy oraz istniejące przy Kuratoriach Wydziały Oświaty i Kultury dla Dorosłych), z których „każdy wydział ma swojego naczelnika, sekretarza, maszynistki, każdy wydział ma swoich referentów teatralnych, literackich, muzycznych, wojewódzkich, miejskich i powiatowych. Każdy referent jeździ w tzw. teren, spotyka tam innego referenta, o którym dotychczas nic nie wiedział, zaczyna

⁴¹ Powszechnie uważano, że najbardziej „teatralnymi” miastami Polski są Kraków i Łódź wobec rzeczywistego zniszczenia stolicy. Opierając się na „obrazie” kultury w tych miastach, formułowano wiele wniosków ogólnych.

⁴² „Odrodzenie”, 1945, nr 23, s. 7.

się spór o tzw. kompetencje i zwraca się do tzw. Centrali [...] Wojewódzki Wydział Informacji i Propagandy, tworzy specjalne komisję do uzgodnienia zakresu działania z...itd⁴³.

Tadeusz Kwiatkowski zajął się zadaniami krytyki teatralnej pisząc, że „Krytyka teatralna powinna być teatralnie żywa, to znaczy powinna ustalać faktyczne zagadnienia widowiskowe i aktorskie, a nie samą literaturę dramatu⁴⁴. Zaś teatr nie powinien być „początkiem i końcem kolumn literackich w niedzielnych dodatkach do pism, workiem do którego wrzucano całą wiedzę o teatrze”. Docenia znakomitą krytykę literacką okresu międzywojennego (Boy-Żeleński, Lorentowicz, Wierzyński, Irzykowski, Słonimski), a jednocześnie zarzuca jej, że „zaniedbywała aktora i reżysera”, „była przewodnikiem dla widza, a nie nauką dla aktora”, „Nie brano pod uwagę zmysłowości teatru [...], która uzewnętrznia swe piękno przez zbiorowy wysiłek⁴⁵”.

W kwestii krytyki teatralnej zabrał też głos publicysta *Odrodzenia* Jacek Frühling, przytaczając skargi środowiska teatralnego wobec krytyki, m.in. „brak należytego szacunku świata krytyki teatralnej dla samego procesu pracy w teatrze”, „dla wysiłków jakich wymaga każde widowisko” oraz, że „poszczególne ujęcia reżyserskie i aktorskie spotykają się z ocenami zdawkowymi”. Frühling uważa, że „te zarzuty i skargi są niewątpliwie słuszne⁴⁶”. Stwierdza, że „jeżeli chodzi o krytykę teatralną, to wydaje się, że nie grozi jej przerost strony literackiej, czy społecznej”, ale postuluje, że „należy sobie [...] uświadomić, że krytyk teatralny pozabawiony szerokiej skali porównawczej,

nigdy nie będzie człowiekiem na właściwym miejscu”. „Krytyk teatralny jest przeważnie zbyt osiadły i mało ruchliwy”, a ten „brak skali porównawczej zaciążył i ciąży w dalszym ciągu na naszej krytyce teatralnej”. Dodaje też, że „wskaźnikami byłyby badanie przez krytyka tej samej sztuki, w różnych miejscach nie tylko w Polsce, ale i za granicą: w Paryżu, czy Moskwie⁴⁷”.

Największego kalibru działa wytoczył Juliusz Kydryński, pisząc w artykule o teatrze robotniczym i nowej dramaturgii⁴⁸. Stwierdzał, że: „sprawa teatru robotniczego w nowej Polsce jest sprawą równie ważną, jak pilną, domagającą się szybkiego rozwiązania i realizacji”. Oprócz tworzenia bibliotek i innych instytucji teatralnych nie należy zaniedbywać tworzenia nowych placówek kulturalno-oświatowych: „Mam na myśli teatry ludowe i robotnicze – powinny one teraz znaleźć odpowiednie możliwości rozwoju”. Stwierdza, że te działania zawsze napotykały na różne przeszkody: (brak organizacji imprez objazdowych oraz odpowiedniego repertuaru) oraz dodaje, że „to także było przyczyną, że przedwojenny teatr polski był teatrem zdecydowanie elitarnym”.

Powołuje się przy tym na szkic Tadeusza Kudlińskiego z 1938 r. pod tytułem *Teatr syntetyczny*, w którym autor stwierdzał, że „odrodzenie polskiego teatru leży w syntezie teatru elitarnego i ludowego”. Twierdzi, że połączenie tych dwu elementów będzie rozwiązaniem upowszechnienia teatru w ogóle. „Warunkiem oczyszczenia atmosfery teatralnej w Polsce jest stopniowe, ale konsekwentne zarzucenie starych form teatru elitarnego”. „Idź więc o to, aby rozbić stary teatr elitarny poprzez włączenie pierwiastków sztuki ludowej, co równocześnie oznacza udostępnienie teatru szerokim masom”.

⁴³ Tamże

⁴⁴ T. Kwiatkowski, *Krytyka na cenzurowanym*, „Odrodzenie” 1945, nr 30, s. 4.

⁴⁵ Tamże

⁴⁶ J. Frühling, *Zagadnienia krytyki teatralnej*, „Odrodzenie” 1945, nr 45, s. 12.

⁴⁷ Tamże

⁴⁸ J. Kydryński, *Teatr robotniczy i nowa dramaturgia*, „Odrodzenie”, 1945, nr 34, s. 6.

Postuluje „teatr ściśle robotniczy, a więc taki, którego zespół artystyczny składałby się z robotników i który grałby w świetlicach fabrycznych, czy świetlicach domów związkowych”⁴⁹.

Dodaje, że praca ta jest „pracą pionierską i prawdziwie twórczą”, a pod uwagę należy wziąć osiągnięcia radzieckie pod tym względem. „Dotychczas powstał w Polsce jeden tylko teatr robotniczy Międzyorganizacyjny Teatr Robotniczy im. Ignacego Fika w Ognisku Wychowania Estetycznego Kuratorium Okręgu Szkolnego w Krakowie. Projektowane są występy tego teatru w świetlicach robotniczych, których jest w Krakowie około trzydzieści”, Juliusz Kydryński uważa, że „nowy człowiek, którego życie wewnętrzne wyrosło z tła współczesnych wydarzeń dziejowych pragnie nowego teatru”, a człowiek ten „nie może sobie pozwolić na estetyzowanie i wracanie do form przebrzmiałych i pustych.” Uważał więc, że „zachowując wszystkie istotne wartości dawnego repertuaru, teatr nowy dążyć będzie do upowszechnienia się, wystawiając nowe sztuki, napisane na podłożu nowej dramaturgii”.

W dyskusji zabrał też głos jeden z bardziej prominentnych krytyków teatralnych – Tadeusz Breza. W tekście *Teatralne poprawki* zastanawiał się nie tylko nad rolą teatru w nowej rzeczywistości, ale również nad jego społecznymi zadaniami: jak grać, dla kogo, co grać, w jaki sposób, a także nad wymianą teatralną pomiędzy ośrodkami i grą „w terenie”, a nawet kwestią transportu⁵⁰.

Według Brezy należy zwrócić baczną uwagę na rolę i znaczenie Departamentu Teatralnego Ministerstwa Kultury i Sztuki w dobie, kiedy teatr polski jest „w okresie rekonwalescencji” i „w pierwszych miesiącach nowej ery”. W kwestii jak grać

i dla kogo, co i w jaki sposób, postuluje: Rada Repertuarowa ministerstwa powinna określić zasady repertuaru i jego zawartość „pod kątem współbrzmienia z chwilą obecną i zaciekawieniem, również repertuar klasyczny i doradzać, co dzisiaj zagrać z Szekspira, Fredry i Zapolskiej”. Rada zaś zajmie się tylko wyłącznie twórczością najnowszą: „Departament wyczuwa, że przez nowy, polski repertuar może mieć największe nieprzyjemności. Toteż zalecał Radzie skupić się głównie na nim”. Autor stwierdza, że Rada „przebadła” ok. 50 nowych sztuk i nie znalazła „ani jednej, którą by mogła z całym naciskiem zalecić”. (Stąd zapewne niepowodzenie w Krakowie m.in. komedii Magdaleny Samozwaniec *Wanda nie chce Niemca*). Tadeusz Breza postuluje jednak, że trzeba grać więcej polskich nowości, choć polskie prapremiery powinny być „tylko pewnym składnikiem repertuaru oprócz np. rosyjskich, francuskich, czy czeskich”.

Ważniejszym pytaniem, które stawiał Breza było: to dla kogo grać? I stwierdzał, że skoro teatry są subwencjonowane z kas państwowych, to należy „zaprzysiężać teatr na nowe przykazanie [...] Niech się czuje głupio w ten czas, kiedy omijać go będzie robotnik i chłop”. Breza postuluje przepracować pojęcie „organizacja widowni”. Według niego „terenem pracy takiego werbunku muszą stać się związki zawodowe i rady zakładowe. Nie mówiąc o wojsku. Następnym etapem to kontakty z wsią, poprzez spółdzielnie” oraz konstatuje, że „w zasadzie przełamanie demokracji pomiędzy nową masą widzów, a teatrem nie jest trudne”⁵¹.

Pozostaje sprawa repertuaru. Jak grać i jak wystawiać? Według Brezy „nowego widza chwycić można na konkretność, na doskonale podrobione życie. [...] Środkami, do których już czytelnik się

⁴⁹ Tamże.

⁵⁰ „Odrodzenie” 1945, nr 43, s. 5.

⁵¹ Tamże

przyzwyczał, ukazywać nowy świat [...]. Trzeba im wciąż dawać nowe sztuki”. Należy też wymieniać się spektaklami. „Po wygraniu *Rosjan* w Krakowie, dawać go w Łodzi, za *Fantazego*, czy też za *Dzień jego powrotu* brać *Dożywocie*”. „A trudności techniczne? – pyta autor. – Transport? Dotacje? To wszystko nie jest łatwe. Ale z pewnością łatwiejsze i mniej kosztowne, niżeli jednoczesne przedstawienia w kilku teatrach naraz tej samej *Zemsty*. Przewóz? Oto zagadnienie”. I zaraz dodaje: „z numeru marcowego (1945 r.) miesięcznika *International Literature* dowiaduję się ciekawych rzeczy o teatrze Sowieckiej Republiki Kirgiskiej. Od sześciu lat, nieprzerwanie latem i zimą (nawet jeśli mrozy dochodzą do 40 stopni!) działa on głównie w terenie. A teren tam wyjątkowo górzysty. W jednym tygodniu gra tak jakby u nas na Hali Gąsiennicowej, a na drugi dzień przez Zawrat się ładując, rozbija namioty w Dolinie Pięciu Stawów. [...] Zatem naprawdę nic trudnego – można by dodać – patrząc z pozycji technicznej, przedsięwzięcie”⁵².

Następnym elementem dyskusji nad rolą i sytuacją teatru w 1945 r. należy uznać tekst *W teatrach krakowskich* mówiący o powstaniu nowych teatrów: Wesoła Gromadka Marii Bilizanki i Zofii Mysłakowskiej oraz Teatru Kolejarza Związku Zawodowego Kolejarzy⁵³. Tadeusz Breza witając powstanie nowego teatru – Teatru Kolejarza, zastanawia się nad tym, że „W naszym mieście dochodzi do tego, że każdego z widzów rozszczępia się na kilkoro. Weźmy na przykład klasycznego kolejarza: chodzi on jako kolejarz do Teatru Kolejarza ZZK, ewentualnie jako członek TUR-u do Kameralnego, jako członek Związku Zawodowego do teatru ZZ, a jako miłośnik prawdziwego teatru – jeszcze gdzie indziej”. Autor

⁵² Tamże.

⁵³ Tadeusz Breza, *W teatrach krakowskich*, „Odrodzenie” 1945, nr 56-57, s. 16.

jednak wita z entuzjazmem powstanie nowego teatru dla dzieci – Wesołej Gromadki („rozwijanie wyobraźni”, „rozwijanie w dzieciach tych wszystkich właściwości czucia, które w przyszłości dadzą pełnowartościowego widza teatralnego”, ale ma wątpliwości co do repertuaru, a więc wybranej sztuki – przerobionej bajki Marii Konopnickiej *O krasnoludkach i sierotce Marysi*. Generalnie podkreśla twórczą rolę bajki w życiu dziecka, ale wyciąga również niespodziewanie „wątek polityczny”. „Bilizanka powinna sobie to samo powiedzieć, co w pewnym momencie powiedziała sobie Jugosławia – dwór jest ciężki, sztywny i strasznie podnosi ogólne koszty. Nie stać nas na podobne luksusy”⁵⁴.

Temperatura dyskusji była – jak widać – bardzo wysoka, ale też czas był rewolucyjny. I na tę „rewolucyjność” wielu dało się nabrać. Chociaż równie wielu było „rewolucyjnie” (czytaj: koniunkturalnie) przekonanych.

Ostatnim elementem i zwieńczeniem dyskusji było *Oświadczenie w sprawie teatralnej* opublikowane w „Odrodzeniu” pół roku później i podpisane przez prawie wszystkie prominentne osoby ze środowiska teatralnego i literackiego Krakowa⁵⁵.

⁵⁴ Tamże. Uwaga dotyczy zapewne „skojarzenia” Brezy dworu króla Błystka z powieści Konopnickiej, z sytuacją w ówczesnej Jugosławii i obaleniem tam monarchii.

⁵⁵ „Odrodzenie” 1946, nr 20, s. 11. Oświadczenie podpisali w kolejności alfabetycznej: Karol Adwentowicz, Stanisław Witold Balicki, Wiktor Biegański, Zbigniew Bińkowski, Jerzy Bober, Maksymilian M. Borwicz, Jerzy Broszkiewicz, Jerzy Ronard Bujański, Halina Maria Dobrowolska, Kornel Filipowicz, Stefan Flukowski, Krystyna Grzybowska, Marcelina Grabowska, Tadeusz Hołuj, Maria Jarochowska, Jadwiga Kozłowska, Tadeusz Kwiatkowski, Karol Kuryluk, Maria Kuryluk, Zygmunt Leśnodorski, Adam Marczyński, Wilhelm Mach, Adam Mauereberger, Zdzisław Nardelli, Kazimierz Olszewski, Stefan Otwinowski, Adam Polewka, Marian Promiński,



Joseph Conrad „Lord Jim”, reż. Mieczysław Kotlarczyk, Teatr Rapsodyczny, Kraków, prem. 12 czerwca 1948. Z lewej: Mieczysław Kotlarczyk. Źródło: Archiwum Narodowe w Krakowie

Jest ono o tyle znaczące, że można je traktować jako wyznacznik poglądów na rolę i miejsce teatru w skali kraju i nowej rzeczywistości politycznej. Ustanawia też priorytety w skali „teatralności” Krakowa. Mówiąc inaczej, wskazuje jakie powinny istnieć teatry w Krakowie, w poszczególnych „obszarach”; np. teatry dramatyczne, muzyczne, dla dzieci, itp.

Podpisani pod *Oświadczeniem* stwierdzali, że „teatr polski przechodzi głęboki kryzys” i uważali za swój obowiązek, „powodowani troską o przyszłość życia teatralnego i twórczości teatralnej w Polsce [...] zastanowić się nad najważniejszymi sposobami naprawy istniejącego stanu rzeczy”. Podkreślali, że skoro „teatr jako najbardziej wielostronne zjawisko sztuki, pełni doniosłą rolę społeczno-polityczną, to ze względu na to, winien kierować wszystkimi poczynaniami, dotyczącymi

Andrzej Pronaszko, Julian Przyboś, Tadeusz Rózewicz, Józef Sieradzki, Maria Szczepańska, J.A. Szczepański, Anna Świrszczyńska, Mieczysław Wejman, Helena Wielowiejska, Witold Wirpsza, Julian Woroszyński, Kazimierz Wyka, Henryk Vogler, Jerzy Zagórski.

zarówno organizacji teatralnej w Polsce jak i kształtu artystycznego powołanych do życia placówek”. Zatem teatr w Polsce należy przeorganizować, a w szczególności stwierdzali i postulowali, że:

1. Istnieje w Polsce, „w pewnych miastach nadmiar teatrów tego samego typu, prowadzonych niefachowo”. Należy, zatem stworzyć „ośrodki takiego promieniowania (zwłaszcza w Krakowie i Łodzi) i podjąć reorganizację teatrów, ustalając ich typy na: a) teatry wielkiego repertuaru, b) teatry repertuaru współczesnego, c) teatry eksperymentalne oraz takie teatry jak rewiiowy, operetkowy, kukielkowy, dla dzieci, itp.”

2. Ze względu na brak dostatecznej ilości aktorów i kierowników „teatry te mogłyby pomiędzy poszczególnymi miastami wymieniać swe przedstawienia lub członków zespołu”.

3. „Spośród istniejących obecnie czterech typów teatru najwięcej odpowiada potrzebom teatr państwowy”.

4. Szczególną opieką należy otoczyć teatr na Ziemiach Odzyskanych: „Teatry z Polski centralnej powinny organizować tam występy gościnne swoich zespołów”.

5. Należy zmienić politykę repertuarową, „ponieważ nieprawdą jest (co jest przesądem), że widz domaga się sztuk z najniższego repertuaru. Nie należy schlebiać jego instynktom, związać z teatrem i wychowywać widza z klasy robotniczej i chłopskiej”.

6. Kierownik literacki w teatrze powinien mieć decydujący wpływ na kształtowanie linii repertuaru („ścisły kontakt z miejscowym środowiskiem”, Związkiem Zawodowym Literatów Polskich, osobistościami życia literackiego i artystycznego, itp.)

7. „Aby umożliwić teatrom polskim należyte spełnianie ich funkcji społecznych i artystycznych należy stworzyć przy Ministerstwie Kultury i Sztuk specjalny Fundusz. Teatralny, pochodzący

spoza zwyczajowego budżetu Ministerstwa „,

8. Nadzwyczajne subwencjonowanie na wystawienie „pewnych, określonych sztuk”.

9. „Usprawnienie i uproszczenie kwalifikowania sztuk do grania.”

10. Należy otoczyć opieką ludowe zespoły amatorskie, „które powinny pełnić doniosłą rolę”.

11. Rozmnożone nadmiernie studia dramatyczne przy teatrach powinny być skupione w każdym większym ośrodku teatralnym – w jednej lub, co najwyżej, dwu szkołach dramatycznych”.

To były postulaty o charakterze ogólnopolskim. Po nich następowały, krakowskie. Miały one, dla odmiany, na względzie uzdrowienie i ulepszenie działalności teatrów krakowskich. Rozpoczął je stwierdzenie zasadnicze: „Ponieważ teatrów w Krakowie jest za dużo, teatry krakowskie stoją wobec ideowo-artystycznego, ale i kasowego przesilenia. Można temu zaradzić przez zmniejszenie ogólnej liczby teatrów, określenie ich typu i uprawianego przez nie rodzaju teatralnego oraz przez podniesienie ich poziomu artystycznego”. Po tym padały sformułowania:

1. „Teatrem głównym Krakowa jest i pozostanie Teatr im. Słowackiego jako teatr tzw. wielkiego repertuaru, zarówno dawniejszego, jak współczesnego”.

2. W Krakowie powinny działać: „a) teatr poświęcony repertuarowi nowoczesnemu, polskiemu i zagranicznemu, b) teatr eksperymentalny, będący sztuką nowego autora, aktora i reżysera., c) teatr powszechny o kulturalnym repertuarze popularnym, wychowujący nowego widza. d) teatr komediowo – muzyczny, e) teatr dla dzieci, który można połączyć z teatrem lalek. Szczególnie ważne jest utrzymanie teatrów wymienionych w punkcie b, c, e”.



Teatr Młodego Widza – Bagatela

3. Koniecznym jest porozumiewanie się kierowników poszczególnych teatrów pomiędzy sobą.

4. Kierownicy teatrów powinni „bliżej niż dotychczas”, utrzymywać łączność z prasą i organizacjami literackimi.

Ostatni punkt postulatów jest charakterystyczny dla sytuacji lokalowej teatrów krakowskich. „Ze względu na doniosłą rolę społeczną należą się teatrom najlepsze sale, jakimi miasto dysponuje. Trzeba zachować dla celów teatralnych obie sale Starego Teatru oraz przywrócić teatrowi salę kinoteatru „Scala”.

Patrząc na te postulaty, można je w zasadzie podzielić na dwie grupy: zdrowo-rozsądkowe i klasycznie polityczne. Podpisujący oświadczenie luminarze ówczesnej kultury jednoznacznie deklarowali swe poglądy po stronie „ludowej władzy”. Świadczą również o tym ich późniejsze kariery i dorobek. Nie był to zapewne koniunkturalizm, lecz autentyczne przekonanie o tym, że są świadkami naprawdę rewolucyjnych przeobrażeń. A takie narzucał – według nich przynajmniej w sferze teatru – czas i okoliczności roku 1946. □

My chyba robociejemy

Wystarczy że ktoś o odpowiednich uprawnieniach rozkaże: maski na twarz! I czy to ma sens, czy nie ma – lud potulnie je zakłada. W parku, w samochodzie, wnet i na plaży...

To taki rodzaj treningu, by nie powiedzieć, że tresury. Pies nie pyta, czemu ma aportować. On to ma wyuczone (MEM), a może nawet w genach. My to mamy raczej wyuczone...

Do czego służyć mają maski? Powiedziano nam, że zasłonięcie otworu gębowego i nozdrzy zdecydowanie obniża: a) dostęp nanocząsteczek do śluzówki jamy ustnej, nosa i do płuc, gdzie wirusy z lubością przenikają do krwi; b) wylot naszych, przyswojonych już i zadomowionych „zarazków”, w kierunku chłonnego je otoczenia ludzkiego.

Niby racja, lecz jeżeli maska jest taką w dwie strony osłoną, to przecież wystarczy, jeśli z dwu osób idących razem jedna takową założy, nieprawdaż? Drugą można odstąpić komuś, kto nie ma, bo nie miał gdzie kupić (dotąd nie wychodził z domu, a teraz – nagle – musi wyjść; albo przyjechało po niego pogotowie...); a nie umiał sobie uszyć (bo np. ręce mu się trzęsą).

Już wiem: to jest efekt wychowania magicznego. Sam je przeszedłem, lecz dzięki sprzyjającym okolicznościom „ideologicznym” lat sześćdziesiątych, kiedy studiowałem, zdołałem się wyrwać z tego „zakłętego kręgu”. Udało mi się bowiem dostrzec podobieństwo pomiędzy frazesami propagandy zachwalającej kolektywizację rolnictwa (sprawa zakładania spółdzielni produkcyjnych na wzór radzieckich kołchozów) jako warunku

pomyślnego życia, a mamieniem jednością wiernych, posłusznych i ofiarnych względem „Świętej Matki Kościoła”, co ma (miało...) gwarantować pełnię szczęścia w życiu... „przyszłym”.

Lata sześćdziesiąte minęły i przyszły siedemdziesiąte, bardzo „sprzyjające” utrwalaniu struktury myślenia magicznego. Władze państwowe „czarowały” poprzez środki masowej komunikacji obietnicami wzrostu gospodarczego. Jak się tylko wzmożemy, to jeszcze trochę i pokonamy „przejściowe trudności” z zaopatrzeniem i płacami. Jednocześnie, jakby przewidując najgorsze, to jest perspektywę utraty „rządu dusz” – w szczególności względem młodego pokolenia – ustępowały ideologicznego pola „duszpasterzom”, zezwalając na rozbudowę ich działalności (poprzez m.in. tzw. Oazy, także kapelanie) i na powiększanie zaplecza w formie pozwoleń na budowę nowych kościołów, wspomaganie wyznaniowych uczelni oraz wydawnictw.

No i nastąpił triumf! Konklawe 1978 roku zwycięskie dla... Kościoła Katolickiego.

Na i nadal żyjemy podług zasad wpojonych nam w dzieciństwie. Bodaj przeważnie nie za głęboko ugruntowanych, lecz wystarczająco wdrukowanych w świadomość i podświadomość, ażeby zachowywać się w sposób standardowy. Więzienia są tak przepelnione, że grube tysiące „osadzonych” nie siedzą z braku miejsc; a funduszy na nowe budżet nie przewidział mając inne „priorytety”. Hołdujemy więc stereotypom, ale stosujemy się do nich... o tyle o ile.

JK

Refleksja o koronie

Zastanawiające, ile jest lub może być trafności w takich pojęciach i stwierdzeniach jak to, że człowiek jest „koroną stworzenia”; albo – z drugiej strony – że osiągnął sukces ewolucyjny (też w domyśle, że góruje on nad pozostałymi istotami).

Wydaje się – i chyba rzeczywiście tak jest – że jesteśmy najbardziej złożonymi mieszkańcami naszej planety. Potrafimy nieporównanie więcej (z naszego punktu widzenia) niż bakterie, owady czy słonie. Ale...

Potrafimy – jako gatunek – zniszczyć wiele (może nawet większość) innych gatunków i naszych wspólnych konstruktywów. Ba, samych siebie! Lecz czy to

dowodzi naszej przewagi? Zdolność do samounicestwienia raczej tego nie dowodzi. Podobnie jak nie dowodzi przewagi ewolucyjnej zdolność pewnych bakterii, a nawet na wpeł żywych wirusów, do wygubienia całej ludzkości, na której istnieniu tak czy owak bazują.

Tymczasem jednak... Ile jest owadów w stosunku do ludzi? Masa samych tylko mrówek w przybliżeniu jest równa masie wszystkich ludzi. Ktoś powie, że sama masa to nie wszystko. Lecz – chyba – zapomniawszy o masie szarańczy! Nie mówiąc o komarach czy kleszczach... Może więc jednak ilość przechodzi niekiedy w jakość? Zwłaszcza gdy liczebność jednej gromady przewyższa liczbę drugiej np. 300x. A tak jest w przypadku relacji masy owadów do masy ludzi.

JK

Zgubne skutki niewłaściwego używania rozumu

Rozpocznę od niezbyt wyrafinowanego żartu:

Do psychiatry zgłasza się jegomość, tuż po wejściu do gabinetu pstryka palcami i gwizdże.

- Co pan robi? – dopytuje lekarz.

- Jak to co? Straszę słonie – spokojnie rzecze pacjent.

- Ale tu przecież nie ma ani jednego słonia! – zauważa psychiatra.

- Widzi pan, jaki jestem skuteczny?

Tyle anegdota. Niewyszukana i nieskomplikowana, jak poziom kampanii w wyborach prezydenckich. Ale dlaczego akurat przytoczyłem tę właśnie przypowieść? Może dlatego, że w niej absurd urasta do roli logicznego argumentu? Może dlatego, że nas, Polaków A.D. 2020 nic już zaskoczyć nie może? Każde szaleństwo można wszak jakoś wytłumaczyć, nieprawdaż?

Nie ma wśród kandydatów na urząd głowy Najjaśniejszej Rzeczypospolitej ani jednego, który nie zanotowałby choćby jednej gafy, głupstwa wypowiedzianego w ferworze walki politycznej. Pan D. mami emerytów „czternastką”, budową największego portu lotniczego w Europie, rozgrzebaną (nie wiadomo po co) Mierzeją Wiślaną, kolejnymi programami. Jednakże nie mówi nam, skąd na to będą pieniądze. Na horyzoncie majaczy widmo nieokiełznanego dodruku pieniędzy, ale kto by się przejmował takimi głupstwami... Obiecywać, obiecywać i nie powiedzieć nic o kosztach – to chyba standard...

Jakby tego nie było dość. Pojawiła się „ideologia LGBT”. Jak za pstryknięciem palcami szaleńca. Że LGBT to nie żadna ideologia? Oj tam, oj tam. Pan D. wie lepiej. I z całą mocą i zaangażowaniem będzie tę ideologię zwalczał. Padają wniosłe argumenty, że nie pozwolimy na

deprawację dzieci. Jeden z tęgich głowaczy ze sztabu pana D. twierdzi, że LGBT to nie ludzie, inny wydała z siebie odkrywczą myśl, że owi ludzie nie są normalni. Prawdopodobnie owi wzniosli myśliciele akceptują model arcykatolickiej, patriotycznej rodziny, w której wytatuowany tatuś ostro pije, bije żonę i dzieci, w każdą niedzielę zalicza obecność na sumie... ach – i bez fałszywego ryku nie umie odśpiewać Hymnu Polski. Ale nienawidzi jakiejś drużyny i jej kibiców, nienawidzi imigrantów (a gdzie oni są?), Żydów (jak tu ich na ulicy rozpoznać?), a także wszystkiego, czego rozumem nie ogarnia. Taki typ obywatela panu D. i jego gwardii nie przeszkadza.

Sięją więc chłopcy ziarno nienawiści, ale nie stać ich na świadomość, że plon tego siewu zatruje także i ich życie. Wygłaszają swoje bla-bla-bla, chociaż niewiele rozumieją z tego, co im napisali spin-doktorzy. Ciekawe zjawisko: im więcej nieskrywanej nienawiści, tym bardziej się nam patriotycznie robi.

Skutkiem takiego właśnie pojmowania walki politycznej będą kolejne podziały, działające destrukcyjnie na społeczeństwo. Jasne jest, że w każdym społeczeństwie nie brak wewnętrznych, często odwiecznych podziałów. Jednakże do już istniejących dodawać nowe – to już czysta głupota.

Jako ateista wzdycham więc:
Boże daj im zdrowie, bo na rozum za późno!

MARCHOŁT



SAWEG DOLY?

STANOWCZOŚĆ

Pewien mąż zbity przez żonę schował się pod łóżko. Żona kilkakrotnie rozkazywała mu stamtąd wyjść, a ten stanowczo odmawiał, mówiąc:

- Mężczyzna nie zmienia swego postanowienia. Skoro powiedziałem raz, że nie wyjdę, to nie wyjdę.

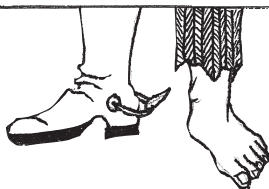
ZADOWOLENI

Król zapytał sławnego komediopisarza i aktora – Moliera:

- Czy jesteś zadowolony ze swego lekarza?

- O tak, Najjaśniejszy Panie – odpowiedział autor Świątoszka.

- On nie czyta moich komedii, a ja nie zażywam jego lekarstw. I tak oboje jesteśmy z siebie zadowoleni.



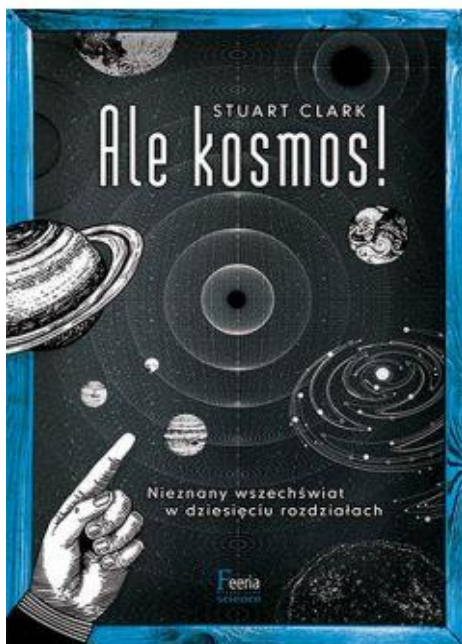
Ale kosmos! Kwantechizm i na marginesie...

Czy słyszeliście co to jest pokolenie „T”? Albo że połowa Amerykanów uważa, że za ich życia Chrystus pokona Antychrysta? Albo że 49 z 50 najlepszych firm świata pochodzi z Europy? Jeśli nie, to po kolei.

Jesienią mój Tato zapytał, czy nie napisałbym do kwartalnika czegoś o książce *Ale Kosmos!* Stuarta Clarka. Bo kiedyś zajmowałem się fizyką, to będzie z górki. Infantylny tytuł spowodował, że powędrowała na szary koniec kolejki; a ponieważ co roku w grudniu kurier przynosi duże pudło książek do przeczytania „na święta”, więc kolejka była spora.

Izolacja antywirusowa sprawiła, że spod stosu w końcu wyrzął „Kosmos” i pomyślałem, że jednak sprawdzę, czy ten tytuł nie mógłby brzmieć np. „emergentna grawitacja w przestrzeni anty-de Sittera”, co by mnie na pewno uspokoiło. Niestety, już pierwsze rozdziały pokazały, że jest to kolejne dzieło popularyzatorskie bez wzorów, w którym renomowany autor musi koniecznie zawrzeć historię badań naukowych od najpóźniej XVII w. To nieznośna maniera i odcinanie kuponów, gdy wstęp zajmuje autorowi aż 247 z 333 stron.

Rozczarowałem się, oczekując nowości, ale z drugiej strony osoby niezorientowane w temacie mogą dodać autorowi parę punktów za fabularyzowane kawałki, które ożywiają wykład historyczny, i za całkowity brak wzorów. Niestety, pomimo paru obiecujących rozdziałów, a w zasadzie paru obiecujących tytułów rozdziałów – zakwalifikowałem książkę do kosza, tzn. na półkę młodszej córki (do przeczytania).



Ale uwaga: jeśli starczy Wam cierpliwości, to dwa ostatnie rozdziały częściowo wynagrodzą wydane 39.90 PLN. Wprawdzie nie znajdziecie ani odpowiedzi na pytanie o ciemną materię i ciemną energię, ani na „wielkie pytanie o życie, wszechświat i całą resztę”, to przynajmniej znajdziecie dobrze zadane pytanie o charakter czasoprzestrzeni i o istotę badań naukowych.

Dobre i to, ale do tytułu średnio pasuje. Brak odpowiedzi na kluczowe pytania bezradny autor zawarł w ostatnim zdaniu książki: „Tak czy inaczej żyjemy w nieznanym Wszechświecie”.

A jeśli ktoś jednak szuka dobrej odpowiedzi w kwestii ogarniającej nas ciemnej energii i materii to ciekawe wyjaśnienie proponuje Erik Verlinde: https://www.youtube.com/watch?v=-OIEGq_g2FI

Klawiatura mnie świerzbila, żeby w takim razie napisać o „Kwantechizmie” Andrzeja Dragana. Rzecz jest o mechanice kwantowej dla laików, ale nie tylko. Lekko napisana, mądra i dowcipna. Polecam ją do tego stopnia, że kupiłem kilka sztuk, które *pro publico bono* rozdaję znajomym.

Jednak na obecny stres wyborczy i na wciąż rozprzestrzeniającą się w naszym kraju „ciemną energię” mam dla Państwa inną propozycję, mianowicie „Koniec” Jacka Żakowskiego (2006, *sic!*), który jest zbiorem wywiadów przeprowadzonych przez dziennikarza z kilkoma wybitnymi myślicielami na początku XXI wieku. Autor podejmuje próbę skoncentrowanego opisu przemian społecznych w skali Polski, Europy i Świata. niestety są to przemiany źle rokujące i stąd taki a nie inny

tytuł, który był tak samo dobry w 2006, gdy książka została wydana, jak i dzisiaj. Zbigniew Brzeziński, Norman Davis, Antonio Negri, Krzysztof Pomian, Guy Sorman, Slavoj Žižek – nie potrzebują reklamy, a do tego P. Jacek trafnie punktuje i prowokuje swoich rozmówców. Czuję się, że jest dla nich ciekawym partnerem do dyskusji. Tak jak w 2006 pesymistyczna diagnoza w połączeniu z przełomowymi wydarzeniami (WTC, JPII) wydawała się szansą na nowe otwarcie historii, tak i dzisiaj w obliczu kryzysu związanego z pandemią, jest równie aktualna. A jeśli chcieliby się Państwo dowiedzieć o pokoleniu T, genezie i perspektywach kryzysu, oraz kiedy nadejdzie koniec, to już nic więcej nie napiszę, tylko zapraszam do lektury. Koniec.

Marcin Kabaj

Z PORTALI INTERNETOWYCH

gazeta.pl

do wypowiedzi p. kurator małopolskiej w sprawie lekarstwa na zarazę

Barbara Nowak: Tak, jak 100 lat temu zarazę bolszewicką pokonaliśmy, bo Polacy zawierzyli Bogu, tak dziś przez wstawiennictwo Patrona naszych czasów św. Andrzeja Boboli, prośmy o uwolnienie Polski od wirusów zła Włączam transmisję Mszy Św <http://www.strachocina.przemyska.pl> i noweny w Sankt. w Warszawie

Na co Sikorski:

Zapytał kuratorkę, czy „jako ministrowi obrony w rządzie PiS» uwierzy mu, że «większy wpływ na zwycięstwo miała nasza przewaga techniczna i informacyjna oraz plan operacyjny, wykorzystujący błędy ofensywy bolszewickiej». «I tak proszę uczyć

młodych Polaków, a nie wciskać im ciemnotę» - dodał Sikorski.



Nowak odpowiedziała, że jego wiedza jest taka, jaką zaprezentował, ona zaś „jest historykiem i opiera się na źródłach historycznych”. „Jestem też człowiekiem wierzącym i pokpiwanie ze mnie, nawet tak znanej osoby, jak Pan, nie zachwieje mojej wiary. Obiecuję modlitwę w Pana intencji” - stwierdziła kuratorka.

ksiadz.teofil

„zarekomendowała, by prosić św. Andrzeja Bobolę o „uwolnienie Polski od wirusów zła””. Ależ pani Kurator, cała Polska już się modli o uwolnienie od PIS.

js08836 - @ksiadz.teofil

Już dawno kuratorium [krakowskie] straciło nadzieję na Nobla dla swojej koleżanki pani Nowak. Teraz walka toczy się jedynie oto, aby nie została c.i.em.n.o.tą roku w Małopolsce.

aria.pura

Komuna jaka była, taka była, ale psychicznie chorzy siedzieli wtedy w szpitalach, a nie na państwowych stołkach.

11krzych - @aria.pura

Zmartwię cię. Ona nie jest psychiczna. Niestety. Ona jest wierząca. I takich jest niestety w Polsce bardzo dużo, którzy nie rozumieją, że watykańska sekta jest szkodliwa dla mózgu.

wybrał J.K.

KRONIKA

Popołudnie siódmego lipca upłynęło nam na corocznym spotkaniu pod pomnikiem Tadeusza Żeleńskiego-Boy'a.

Przybyłych powitał Prezes krakowskiego Towarzystwa Kultury Świeckiej dr Józef Kabaj. W krótkim wystąpieniu nawiązał do idei naszego Towarzystwa i do okoliczności, w jakich przychodzi nam obecnie działać. Następnie głos zabrali: redaktor Lesław Czaplński i Prezes Stowarzyszenia Wszechnicy Oświeceniowo-Racjonalistycznej w Krakowie – Adam Jaśkow.

Bardzo ważne było przemówienie przedstawiciela Prezydenta Miasta Krakowa, zastępcy dyrektora Krakowskiego Biura Festiwalowego, pana Roberta Piaszkowskiego. Wskazał on bowiem na znaczenie działalności Boy'a dla dziedzictwa kulturowego Krakowa i całej Polski.

Na zakończenie uroczystości przedstawiciele instytucji, organizacji i stowarzyszeń złożyli pod pomnikiem naszego Patrona wiązanek kwiatów.

AP





■ Każdy jest twórcą swego losu, ale tylko ludzie sukcesu skłonni są to przyznać.

Bill Beattie

■ Każdy człowiek ma swoją słabą stronę, ale niczym nie urazisz go bardziej niż tym, że ją rozpoznasz.

Karel Čapek

■ Ludzie, którzy twierdzą, że nie interesują ich błahostki, nigdy widać nie spali w pokoju, w którym był choć jeden komar.

Alan Ashley Pitt

■ Jeśli ludzie bywają dobrzy tylko dlatego, że boją się kary i oczekują nagrody, to jest to powód do zmartwienia.

Albert Einstein

■ Dobrzy ludzie śpią lepiej od złych, ale ci drudzy bawią się znacznie lepiej, kiedy nie śpią.

Woody Allen

■ Nie można nauczyć człowieka niczego, można tylko pomóc odnaleźć mu to w nim samym.

Galileusz

■ Wyobraźnia została dana człowiekowi, by wynagrodzić mu to, czym nie jest; poczucie humoru – by go pocieszyć.

Francis Bacon

■ Ludzie stali się narzędziami w rękach swoich narzędzi.

Henry David Thoreau

■ Należy stwierdzić, że Bóg musi być swym nowym tworem również rozczarowany – poprawki w stosunku do małpy są wręcz niezauważalne.

Mark Twain

■ Dobra rada to coś, co człowiek daje, gdy jest już za stary, by dawać zły przykład.

Francois de La Rochefoucauld



Projekt okładki: **Stefan Berdak**

Kompozycja stron: Artur Koziół

Grafiki: Piotr Augustynek. Zdjęcia: Antoni Pietryka, zasoby internetu



STEFAN BERDAK , akryl